

Urodziłem się 13 listopada 1917 roku w Wilnie. Moimi rodzicami byli Bronisława i Michał. Rodzice posiadali w centrum Wilna bardzo dużą piekarnię i cukiernię przy ul. Wileńskiej 28. Poza tym przy ul. Szkaplernej w Wilnie posiadali dużą piekarnię mechaniczną, pierwszą piekarnię mechaniczną, oraz dwa domy przy tej ulicy. Takimi olbrzymimi furgonami zaprzężonymi w perszerony belgijskie rozwozili chleb po całym mieście. Pod Wilnem w miejscowości Żedziszki mieli posiadłość ziemską. Do roku 1939, po skończeniu matematyczno przyrodniczego gimnazjum im. Lelewela, studiowałem polonistykę i Historię na Uniwersytecie im. Stefana Batoiego. Działiałem wśród robotników wileńskich, należących do Stronnictwa Narodowego. Byłem członkiem Młodzieży Narodowej i Konfederacji "Chrobria". Konfederacja była alternatywa dla korporacji, działała w Poznaniu, w Wilnie, może jeszcze w Warszawie. W takiej sytuacji znalazłem się w roku 1939, w czasie wybuchu wojny. Ponieważ miałem odroczenie z powodu studiów, w wojsku nie byłem, ale zgłosiłem się do samoobrony Wilna. Sprawy wojskowe w Wilnie poza zaciemnieniem raczej były w rozsypce. 1 września dowiedzieliśmy się z radia o wybuchu wojny. Że wojna wybuchnie, można było przypuszczać w związku z mobilizacją pod koniec sierpnia. Nasza rodzina miała rowery więc wszystkie oddaliśmy, takie były zarządzenia, i przygotowaliśmy się na wojnę. Poza tym 1 września gdzieś w połowie dnia był nalot niemiecki, syreny które ostrzegły ludzi przed bombardowaniem. W kilka dni po pierwszym został zabity odłamkiem bomby mój kolega Stryszak. Nastroje były bardzo optymistyczne, nie widziałem jakiejś apatii. Wszyscy ludzie normalnie pracowali. Wiazało się to z nadzieją, że nie jesteśmy sami, że mamy sojuszników na Zachodzie no i 3 września, kiedy Anglia i Francja wypowiedziały Niemcom wojnę, optymizm jeszcze się wzmógł.

Miałem znajomego Białorusina, który przychodził na prywatne lekcje do mojego brata. Był klerykiem prawosławnego Seminarium Duchownego. Do Polski był nastawiony pozytywnie. Pamiętam, że w pewnym sensie z radością przyjęliśmy wiadomość o wybuchu wojny - byliśmy przekonani, że skończy się w taki sposób, że Polska przesunie swoje granice na zachód. Wiedzieliśmy, że tam są Polacy. Wiosną 1939 roku ukazała się bardzo ciekawa książka Józefa Kisielewskiego "Ziemia gromadzi prochy", w której autor tropił ślady słowiańskie daleko, daleko na zachódzie. Ta książka była bardzo popularna. Ja sam jako członek Młodzieży Narodowej, byłem pod wrażeniem artykułów jednego z twórców Ligi Narodowej, pana Ludwika Popławskiego. Właśnie on jako jeden z pierwszych wspominał o Szczecinie. W każdym razie do 17 września, kiedy dowiedzieliśmy się pocztą pantoflową, że granice przekroczyli Sowieci, nie było pesymizmu. My wszyscy byliśmy antyhitlerowcami. absolutnie. Może trochę, może naiwnie faszyzm włoski nam się podobał. Wydawało nam się, że zmieni on jakąś sytuację włoską, jeśli chodzi o zjednoczenie południa z północą. Sądziliśmy, że w jakiś sposób wzbogaci to zacofane południe, zbuduje przemysł, zlikwiduje mafię, te nienormalne stosunki na Sycylii. Okazało się potem, że tak się nie stało. O faszyźmie włoskim wiedzieliśmy, że nie jest taki barbarzyński. Takie nasze myślenie wynikało z jakiejś sympatii do Włoch. Rok przed wojną z Włoch przyjechała do Wilna delegacja, która ~~nie~~ ofiarowała miastu symbol Rzymu, wilczycę rzymską. Ale nie o to chodzi. Wiedzieliśmy, że faszyzm włoski jest mniej barbarzyński, mniej okrutny, inny niż faszyzm hitlerowski. Uważaliśmy, że ostatnie lata właśnie, to zbliżenie Mussolini - Hitler, dla Włoch nie przyniesie nic dobrego. Współczuliśmy nawet Włochom, nie faszyzmowi włoskiemu, ale Włochom z powodu coraz większej zależności

od Niemiec. W każdym razie hitleryzm niemiecki... W ogóle do Niemców odczuwaliśmy nieufność. Wiedzieliśmy dobrze w jaki sposób potraktowali oni traktat Wersalski, właściwie dążyli do zerwania tego traktatu. Oczywiście wiedzieliśmy, że musimy balansować między Niemcami a Sowietami, ale ten reżym nie miał u nas żadnego poparcia, absolutnie.

17 września dowiedzieliśmy się, że Rosjanie przekroczyli granicę. 16 września byliśmy zdziwieni, bo wieczorem zmniejszyło się zaciemnienie. Po prostu przestano zaciemniać miasto. 18 września pokazała się po raz ostatni gazeta wileńska, wspaniała, znana w całej Polsce, "Słowo", pod redakcją Cate Mackiewicz. Ruch na ulicach był normalny, policja kierowała ruchem, ale ja jako zdecydowany przeciwnik komunizmu, zaangażowany, zrozumiałem, że nie mam co robić w Wilnie. Zebraliśmy się jeszcze w Nowym Domu Akademickim przy ul. Góra Bufałowa na wiecu, na którym byli nie tylko wilnianie, ale wszyscy, którzy studiowali na wileńskim Uniwersytecie i wielu innych studentów, uciekinierów z zachodniej i centralnej Polski. Pomorzanie, poznaniacy, warszawiacy. Wiec się przedłużał, postanowiliśmy jednak, zebrała się nas taka piątka, iść czy jechać, /nie wierzyliśmy, że będzie można jechać/ w kierunku granicy z Litwą. Tak zrobiliśmy.

Wiedzieliśmy, że Sowietci to barbarzyńcy, absolutnie. Przed nami represji stalinowskich nie można było ukryć. Dobrze się orietowaliśmy, co tam się dzieje. Był cały szereg publikacji, pisały o tym wszystkie czasopisma. Była słynna książka pana Sołoniewicza, Rosjanina, twórcy rosyjskiego skautingu, o jego słynnej ucieczce z bratem i bratankiem z Wysp Sołowieckich przez Finlandię, gdzie ukazała się ta książka. Poza tym w 1927 czy 1928 roku ze Związku Radzieckiego przyjechał mój kuzyn. To był okres, kiedy na podstawie umowy ryskiej mógł się opowiedzieć

albo za Związkiem Radzieckim, albo za Polską. Przyjechał wtedy z żoną Rosjanką i teściową. Więc miałem informacje na bieżąco. Kuzyn nazywał się Józef Kondratowicz, a jego żona Ludmiła Szafrańska. Jej brat astronom był aresztowany i wywieziony gdzieś na północ Rosji. Kto chciał to wiedział co się tam działo, tylko ten, kto zatykał uszy, nie wiedział. Przecież mój dziadek w 1932 lub w 1933 roku w jednym z ostatnich lat kolektywizacji w Związku Radzieckim, przebywał w Moskwie. Tam odwiedził swoją córkę, która została po tamtej stronie granicy. Przywiózł informacje o kanibalizmie na Ukrainie i o wszystkich innych okropnościach.

Nasz antykomunizm i antyhitleryzm wynikał z tego, że oba te systemy były barbarzyńskie, że był to terror. Ja nie zagłębiałem się w sprawy funkcji rządzenia państwem poprzez te systemy. Wiedzieliśmy po prostu, że polscy działacze komunistyczni, którzy znaleźli się w Związku Radzieckim byli tam represjonowani. Wiedzieliśmy, o działaczach białoruskich prześladowanych za swój nacjonalizm białoruski.

18 września w Wilnie poszła pogłoska, że Niemcy wycofują się z Polski. My wtedy, tą małą pięcioosobową grupką, szliśmy pieszo pod granicę litewską. Gdy byliśmy około 30 km od Wilna, natrafiliśmy przed samą granicą na oddziały KOP-u. Nie pozwolili nam przejść granicy, powiedzieli: - "Jak to? Musicie tu przeczekać, bo wojna może się skończyć. Jest ultimatum amerykańskie." Zatrzymaliśmy się u chłopca, zostaliśmy nakarmieni, odpoczęliśmy i czekaliśmy na rozwój wypadków. Było to niedaleko drogi prowadzącej na stronę litewską i niedaleko granicy. Wieczorem droga wypełniła się ciężarówkami z wojskiem, policją i cywilami. Czekaliśmy, kiedy będzie można przejść przez granicę. Doczekaliśmy aż do godziny czwartej nad ranem. Przekroczyłem granicę z Litwą w nocy 19 września. Była wspaniała pogoda,

padał ciepły deszcz, nas wieziono w kierunku Koszedar. Po drodze ludzie wybierali ziemniaki, byli zaszokowani sytuacją, widzieliśmy kobiety, które chustkami ocierały oczy. To było na granicy Polsko-Litewskiej.

Przywieziono nas do Koszader, do jakiejś szkoły. Było tam dużo Polaków i miejscowa ludność. Zaczęli nas częstować pieczywem Litwini podzielili nas na wojskowych i cywilów. Ja przyłączyłem się do grupy cywilów. Wkrótce znalazło się tam bardzo dużo Polaków - ziemian, którzy zaczęli zabierać nas do swoich majątków. Ja znalazłem się w jednym z nich. Mieliśmy wszystko do dyspozycji - wyżywienie, spanie, wszystko. Trzeba się było zameldować w samych Koszedarach w urzędzie litewskim. Potem przyjechałem do innego majątku, tu pamiętam nazwisko pani, która byrdzo przypominała Orzeszkową, pani Smielewskiej. Była Polką. To wszyscy byli polscy ziemianie na Litwie. Było ich przecież byrdzo dużo.

Pojechałem do Kowna zorientować się, co robić dalej. Byłem w Polskim Poselstwie, miałem przy sobie paszport zagraniczny, bo przed samą wojną cały lipiec spędziłem na Węgrzech /paszporty się trzymało w domu/. Dostałem tę historyczną pieczętkę Poselstwa Polskiego w Kownie, Zauważyłem, że wszystkie inne poselstwa: francuskie, angielskie, łotewskie, szwedzkie były oblężone przez rodaków, jak się zorientowałem przeważnie tych, którzy już nie mają gdzie wrócić, pochodzący z terenów zajętych przez Niemców. Wszyscy oni starali się wydostać z Litwy przez Łotwę do Szwecji, Norwegii a potem do Francji - tam powstawał już rząd i formowało się wojsko polskie.

Litwini wymieniali na złotówki bardzo uczciwie, za złotówkę dawali 50 centimów, podróż Kowno-Francja o ile pamiętam kosztowała 500 litów, czyli 1000.- złotych polskich. Polacy z Litwy

zbierali te pieniądze i dawali tym, którzy chcieli wyjechać. Ja uważałem, że mając zaможnych rodziców w Wilnie, nie mogę odbierać możliwości wyjazdu tym, którzy nie mają gdzie wrócić i w połowie listopada, zresztą nie ja jeden, alez kilkunastu innymi rodakami, postanowiliśmy wrócić do Wilna. Granicę polsko-litewską w jedną i drugą stronę przekraczałem nielegalnie. W drodze powrotnej przeszedłem granicę okreśną drogą, znalazłem się w Lontwarowie i stamtąd na gapę pierwszym lepszym pocięgiem przyjechałem do Wilna.

Wilno w czasie mojej nieobecności przeszło metamorfozę, 27 października Sowieci przekazali miasto i część wileńszczyzny Litwie, zostawiając w Wilnie i może jeszcze w innych miejscowościach swoje bazy. Litwini weszli do Wilna, pozostawili jednak obsadzoną wojskami litewskimi dawną granicę polsko-litewską. Kiedy wróciłem do Wilna w połowie listopada, wszędzie już były napisy litewskie, policja litewska, ale uważałem, że to lepsza sytuacja niż znalezienie się całkowicie w ramach Związku Radzieckiego. Istniała przynajmniej jakaś szansa dla ludzi, którzy znaleźli ~~xxx~~ w Wilnie miejsce ucieczki spod panowania barbarzyńców niemieckich.

W Wilnie poza zmianami zewnętrznymi większych zmian nie było, interes rodziców rozwijał się normalnie. Rodzice byli niezmiernie szczęśliwi z mojego powrotu i dali mi wolną rękę, jeśli chodzi o moją działalność. W każdym razie nie interesowali się, co robię, prosząc jedynie żebym się nie angażował - był stan wojenny, godziny policyjne, poza tym panowali obcy, więc rodzice obawiali się jakichś konsekwencji. A ja i tak zostałem wciągnięty w działalność przez ludzi, z którymi pracowałem do września 1939 r. To byli robotnicy. Mądrzy robotnicy.

Pan Sokołowski robotnik, z którym współpracowałem do wrześ-

nia 1939 przyszedł do mnie i powiedział, że oni na mnie czekali, żeby działać dalej w warunkach konspiracyjnych. I zaczęliśmy działać. Była to po prostu kontynuacja działalności grup Stronnictwa Narodowego na terenie Wilna. Ta grupa to była grupa Stronnictwa Narodowego tworzona przez robotników, z jednej z dzielnic Wilna.

Jeszcze na terenie Litwy spotkałem oficera wojsk lotniczych z takiej patriotycznej grupy oficerów pod nazwą "Krzyż i Miecz". I wtedy pod wpływem naszej klęski, pod wpływem rozpadu państwa zobaczyłem mizери naszych ostrych podziałów politycznych. Ten pan był właściwie Piłsudczykiem, ja narodowcem i pamiętam, że podaliśmy sobie ręce, wyrzekając się ostrych podziałów. Okazały się w sytuacji klęski czymś mało znaczącym. Poza tym uświadomiłem sobie, że na terenie wileńszczyzny, gdzie było tyle różnych narodowości stanie na pozycji nacjonalistycznej było po prostu ani mądre, ani moralne. Raczej koncepcja współpracy narodowości a nie próba supremacji jednej narodowości nad drugą, w tym wypadku naszej polskiej nad innymi, na dłuższą metę nie miała właściwie sensu.

Moje członkostwo w Młodzieży Narodowej, która stanowiła kościół Stronnictwa Narodowego /była tam przecież młodzież z różnych kierunków naukowych, uniwersyteckich, która w przyszłości miała stać się podstawą naszej inteligencji/ było spontaniczne, niezbyt głęboko przemyślane, bardziej oparte na wyczuciu na jakiejś euforii patriotycznej. Dlatego, po powrocie z Litwy, kiedy zwrócono się do mnie, żeby odtworzyć działalność sprzed września 1939 nie dałem odpowiedzi odmownej - nakaz patriotyczny nadal we mnie istniał i uważałem, że byłoby po prostu niesłuszne odmówić w czasie, kiedy trzeba było znów zewrzeć wszystkie siły do obrony polskości. Natomiast wewnętrznie nie byłem

głęboko przekonany, że ta droga narodowa jest słuszna. ~~Innej~~ Innej jednak możliwości działania nie widziałem. Nie wiedziałem jeszcze, czy jakieś inne organizacje podziemne są, nie miałem kontaktów. Po prostu zacząłem z kilkoma ludźmi, których znałem.

Działalność ta nie była jakoś głęboko zakonspirowana, nie mieliśmy pseudonimów. Ale grupy, które się znały były bardzo niewielkie. Działalność nasza polegała na podtrzymaniu ducha polskiego i wiary, że nasza sytuacja musi się w jakiś sposób odwrócić, że zwycięstwo Niemców nie jest ostateczne - wiedzieliśmy, że mimo pewnej ciszy na froncie zachodnim wojna jednak się nie skończyła. Jakoś braliśmy pod uwagę fakt, że pół Pol^{nie}ski było zajęte przez wojska sowieckie. Może ta sytuacja litewska, która jeśli chodziło o sprawy ekonomiczne, nie różniła się od sytuacji w Polsce do września 1939 r., może to nas jakoś dezorientowało.

Na początku spotykałem się tylko z jednym człowiekiem - z panem Sokołowskim, ale później przychodzili ludzie z nowych komórek, które w międzyczasie powstały. Ja byłem z góry, a potem były takie powiązania trójkowe, może piątkowe. Nie miałem kontaktu z większą ilością osób, tylko ktoś przychodził, ja mu oddawałem paczki, te szły dalej.

Postanowiliśmy wydawać na użytek wewnętrzny tych niektórych grup robotniczych czasopismo, pod nazwą "Narodowiec". Był to taki szapizograf. Pisałem tam nie sygnowane artykuły. Pisemko rozchodziło się. Ja dostawałem swoją porcję, oddawałem dalej. Nakład był niewielki. Nie mieliśmy papieru. To co robiliśmy, zamykało się w jednej z dzielnic wileńskich. To znaczy konspiracyjna grupa działała na terenie całego Wilna, a ta czołówka była tylko w tej jednej dzielnicy Subocz. Było już radio, słuchaliśmy radia zagranicznego i chodziło o podtrzymanie ducha

tutaj na miejscu u nas.

Gazetka - to były artykuły, które podtrzymywały ducha polskiego - przyznam szczerze - sam posyłałem tam artykuły, a reszty nie czytałem. Zresztą nie pamiętam, to jest prawie 50 lat. Na czym polegało podtrzymywanie ducha? Trzeba się było po prostu przeciwstawić szerzonej przez Litwinów propagandzie, jak również propagandzie szerzonej przez obóz swoich własnych defetystów. A było ich bardzo wielu. Najłatwiej zwalić wszystko na to czy na tamto. Przypominaliśmy w tej naszej gazetce, że jednak to my pierwsi wystąpiliśmy przeciw Niemcom, wobec których pasowały narody od nas silniejsze. A my się przeciwstawiliśmy, A to że byliśmy słabsi? To wiedzieliśmy, ale przecież w życiu też tak jest, nie potrzeba biblijnego przykładu o Goliacie i Dawidzie, stawiać za wzór, że czasami słabszy w takich przypadkach przeciwstawia się silniejszemu. Uważaliśmy, że trzeba w tym duchu pisać i w tym duchu oddziaływać na społeczeństwo, które było bardzo przybite.

Nigdy nie kierowaliśmy tekstów przeciw Litwinom. To byłoby śmiesznością. Dostyc było mieć dwóch potężnych wrogów - wystąpienia przeciw Litwinom byłyby śmiesznością. Odwrotnie, uważaliśmy, że Wilno jest oazą. Rzeczywiście było oazą, tam znalazło się masę, masę różnych innych organizacji o charakterze szpiegowskim, międzynarodowym. Do czerwca 1940 Wilno naprawdę było oazą. Przyjeżdżali wysłannicy rządów w Angere we Francji. Do Wilna można było przyjechać przez Bergen, Sztokholm, Rygę, Kowno. My nie mieliśmy kontaktu z innymi organizacjami. Nasza działalność polegała na podtrzymywaniu ducha wśród tych grup, w których człowiek działał kiedyś, żeby ludzie nie tracili nadziei, żeby po prostu przetrwali. Jak duża była ta działająca grupa nie jestem w stanie określić. Nie było pseudonimów, ale

była to jednak konspiracja. Tam nie było tych wszystkich, którzy działali przedtem.

Codziennie życie pod okupacją litewską zmienilo się o tyle, że była godzina policyjna, że był stan wojenny, że rozpoczęły się kursy języka litewskiego, na które ludzie zaczęli chodzić. Chyba mało z dobrej woli, ale żeby utrzymać się na swoich urzędniczych stanowiskach. Rzemieślnicy nie chodzili, ale urzędnicy musieli chodzić. Działalność Uniwersytetu została zawieszona, chyba do końca października czy listopada. Píše o tym bardzo dokładnie pan Łosowski w książce "Litwa a sprawy polskie 1938 - 49" i wspomina o mnie na jednej ze stronic. Piotr Łosowski historyk warszawski. Ukazywało się czasopismo "Kurier Wileński". Ale traktowaliśmy je jako kolaborujące. Uważaliśmy, że pisma powinny wychodzić w podziemiu, nie oficjalnie. Myśleliśmy tak: jeżeli Litwini, którzy uważali się za okupantów, dali zezwolenie na takie pismo, to istotnie jest to kolaboracja. Tak to traktowaliśmy. Teraz może spojrzelibyśmy na to inaczej - może wtedy traktowaliśmy te rzeczy trochę powierzchownie.

W każdym razie Litwini starali się, jeśli chodzi o sytuację ekonomiczną, żeby mieszkańcom Wilna niczego nie brakowało. Żywności było wbród. A przecież trzeba było jeszcze wykarmić ludzi, którzy znaleźli się tu jako uciekinierzy z innych terenów Polski.

Ja sam starałem się za wiedzą mojej rodziny, pomagać jednej z osób, która przyjechała z Warszawy do babci i została. Akcja pomocy dla uchodźców była zorganizowana: odzież, dożywianie. O statusie uchodźców pisze dokładnie pan Łosowski. Ale ja właściwie wiem o tym raczej z jego książki. Wtedy prowadziłem życie ukryte, z racji konspiracji, więc o wielu rzeczach wtedy nie wiedziałem. Tyle, że codziennie czytałem "Kurier Wileński", więc wiedziałem o Komitecie Polskim, jakie są trudności, jakie pro-

blemy stawiają Litwini i w jaki sposób nasi na to reagują. Wiedziałem, że musi być jakiś modus vivendi, że mimo wszystko obecność Litwinów w Wilnie diametralnie się różniła od sytuacji, w której byli rodacy pod Niemcami i pod Sowietami. Uważałem, że to jakiś szczęśliwy los dla wileńszczyzny i dla ludzi, którzy mogli stąd wyjechać na Zachód. Było to przecież okno na świat. Tędy prowadził szlak na Zachód. Tutaj sytuacja była wyjątkowa.

Moja działalność konspiracyjna nie ograniczała się do wydawania pisma. Krążyły jeszcze instrukcje, co robić, jak działać. Moja działalność trwała bardzo krótko - 3 miesiące. Ile wyszło numerów "Narodowca", nie pamiętam. Staraliśmy się wydać kilka numerów w ciągu miesiąca. Trzeba było zebrać artykuły, sam wszystkiego nie mogłem pisać, pisali również inni. Kto - już nie pamiętam. Wszystkie artykuły były niesygnowane. Nie wiem, czy się gdzieś zachowały te pisma.

Pod koniec stycznia lub na początku lutego zostałem aresztowany. W przeddzień, tak jak normalnie, dostarczono mi paczkę z naszym czasopismem. Wróciłem późno do domu, cały dom spał i nikt mi nie powiedział, że coś w domu mam. Rano zjawiała się tajna policja, a mundurowy policjant stał w drzwiach wejściowych. Mieszkaliśmy przy ul. Wileńskiej 29 m 5 w domu państwa Wolbeków. Byłem absolutnie pewien, że nic nie mam. A tu w biurku leżała paczka czasopisma, znaleźli. Był to główny argument przeciwko mnie w sądzie. Potem, znacznie później dowiedziałem się jak policja do mnie trafiła. Nasza działalność rozszerzała się i przeszła również na działalność z młodzieżą. To tak jak każda konspiracja, że człowiek nie wie, kto do niej wejdzie. Rozszerzyła się na pewną grupę młodzieży, z której kogoś zatrzymano. Nazwiska nie pamiętam, wiem tylko, że było to nazwisko o końcówce litewskiej. Policja na całym świecie działa podob-

nie: ostrzygła tego młodzieńca na zero, wsadziła do pojedynczej celi o chlebie i wodzie na kilanaście godzin i po nitce do kłębka doszła do mnie. Myślę, że starała się również trafić do tego młodego człowieka, działając na uczuciach patriotycznych: jesteś Litwinem a działasz w organizacji polskiej. Choć nazwisko litewskie o niczym jeszcze nie świadczyło - bywali przecież Polacy o nazwiskach litewskich. Nie wiem. Pseudonimów nie było więc... Może zresztą gdyby mnie zatrzymano bez tego corpus delicti, jakim była paczka czasopism, skończyłoby się to inaczej.

Byłem tak zaszokowany, że nawet nie zapytałem o nakaz rewizji. Rewizja odbyła się bardzo spokojnie, tylko w tym jednym pokoju, gdzie mieszkaliśmy z bratem. Przeszukali tylko ten pokój, pozwolili mi wyjść do ubikacji - miałem chyba jeszcze przy sobie jakiś papiererek, który musiałem usunąć. Było bardzo spokojnie. No i zaprowadzono nas do auta i zawieziono do urzędu policyjnego, mnie i brata. Stamtąd przewieziono nas do znanego więzienia na Łukiszkach. Przetrzymano mnie w oddzielnej celi.

Sledztwo trwało dość długo, mniej więcej do połowy marca 1940 roku. Przesłuchania nie odbywały się codziennie, jakieś kilka razy w tygodniu, normalnie za dnia. Przesłuchujący sędzia śledczy nie chciał wymóc na mnie żadnego zeznania. Wyobrażałem sobie jak bym wyglądał, gdybym się znalazł w rękach niemieckich czy sowieckich. Był to młody człowiek, bardzo sympatyczny. Po prostu prowadziliśmy rozmowę. Świetnie mówił po polsku. Był grzeczny, bardzo uprzejmy. Z rozmów z nim wynikało, że rozumie moją sytuację, że trudno w ciągu pół roku wyrzec się polskości i patriotyzmu. Zdawał się rozumieć sytuację, ale była ona z punktu widzenia państwa litewskiego bezprawna, tym bardziej, że obowiązywał stan wojenny. Zarzut dotyczył działalności antypaństwowej, a te czasopisma były "Corpus delicti".

Nie wiem, czy kogoś jeszcze aresztowano w związku z tą sprawą. Wiem tylko o tym młodym człowieku i on chyba był tutaj głównym świadkiem oskarżenia, ale na sądzie wojennym nie występował. Myślę, że zebrali od niego zeznania i zwolnili go.

Jeśli chodzi o mojego brata, zwolniono go po dwóch miesiącach. Bardziej przejmowałem się bratem, niż sobą, bo on w ogóle nie był zorientowany w tych sprawach. Brata aresztowano razem ze mną, bo spaliliśmy w jednym pokoju. Jego zwolnienie było dla mnie wielką ulgą. Dowiedziałem się o tym w czasie spacerów, które były miejscem przepływu informacji. Brat nie siedział w pojedynczej celi, a z kilkoma innymi.

Doczekałem do dnia sądu. Sąd był w więzieniu, sądziło trzech sędziów wojskowych. Zdziwiło mnie, że sąd jest w więzieniu, a na sali są jacyś ludzie. Sądzone tam nie tylko mnie, były też inne rozprawy. Przede mną sądzono jednego kryminalistę, który dokonał rabunku na kobiecie, podobno wyrwał jej torebkę, w której były pieniądze. Otrzymał karę śmierci, byłem więc takiej myśli, że i ja mam szansę na karę śmierci. Z sądem wojennym w mojej wyobraźni łączyły się bardzo surowe wyroki. Działalność na szkodę państwa plus stan wojenny - to wszystko wyrok podwyższało.

W mojej sprawie byłem sam. Słyszałem i byłem zadowolony, że działalność się rozwija nadal, że więcej aresztów nie było. Rozprawa trwała kilkanaście minut. Powiedziano: - "W stanie wojennym działał pan przeciwko państwu litewskiemu", i to było wszystko. Sędzia śledczy, który mnie badał w śledztwie, tu był moim tłumaczem. Nie było żadnego obrońcy. Jako dowód przedstawiło czasopismo, które miałem kolportować. Świadców nawet nie było. A co najśmieszniejsze, że jeszcze z mojego biurka zabrali kastet, którego ja nigdy nie używałem, nawet nie wiem, jak on

się tam znalazł. Ten kastet też przedstawiono jako dowód. Nie pytano mnie nawet, czy redagowałem to pismo. Uznano, że byłem jednym z działaczy, że działałem tutaj do września. Mówiłem, że ta działalność nie była skierowana przeciwko Litwie, tylko po prostu miała na celu podtrzymanie ducha polskiego, a to chyba nie było zbrodnią. No, może przestępstwem.

Dostałem wyrok - kara śmierci. Przeżyłem to jak każdy młody człowiek - z niedowierzaniem. Byłem zdrowy, mimo więzienia czułem się dobrze, nic mi nie brakowało. Z domu dostawałem stale paczki żywnościowe, zresztą więzienie litewskie nie różniło się od więzienia polskiego, po prostu traktowano więźniów po ludzku.

Jedzenie w więzieniu było pożywne, był spacer, chyba pół godzinny. Na spacerze byłem zawsze z jakąś częścią tego piętra, które miało właśnie termin przewidzianego spaceru. Z biblioteki więziennej wypisywało się książki, które się chciało dostać, i to dobre książki.

To było więzienie budowane jeszcze za czasów carskich, o tyle ciekawe, że niedokończone - budowniczy rozkradł pieniądze i drugi korpus wybudował bez wyższych pięter. Ale było to więzienie o standardzie europejskim. Cella duża, okno nie ~~mia~~ zasłonięte, można je było samemu otwierać i zamykać, nikt przeciwko temu nie protestował. Sanitariaty były wewnątrz, ale rano wyprowadzano do łazienki.

Pamiętam, że tato na ostatniej wizycie razem z paczką żywnościową przyniósł mi gazetę, a strażnik nie oponował. Gazet w samym więzieniu nie było, ale była bardzo obszerna biblioteka z polskimi książkami. Można było czytać, ile się chciało. Widzieć w okresie śledczym nie było, ale po wyroku miałem jedno widzenie. Ale to było w Kownie, gdzie trzeba było dojechać. Co tydzień można było dawać więźniom paczki żywnościowe.

Po wyroku umieszczono mnie w innej celi, celi na parterze, bardzo brudnej, nie sprzątanej. Przedtem siedziałem chyba na najwyższym piętrze. Ta cela w której siedziałem teraz to była cela, tak przypuszczałem, dla tych, co otrzymali karę śmierci. Strażnik co rusz zaglądał przez judasza, aby sprawdzić co więzieni robi.

Była już pora popołudniowa, przyniesiono mi bardzo dobrą kolację, nie pamiętam, czy to był późny obiad. Zająłem się takimi prozaicznymi rzeczami - dokładnie wysprzątałem celę. W międzyczasie może godzinę, może pół godziny po rozprawie przyszedł do mnie cywil, chyba sekretarz sądowy, który zapytał, czy zamierzam złożyć prośbę o ułaskawienie do Prezydenta Litwy, Antanasa Smetany i przywiózł mi gotowy już papier z napisanym tekstem prośby o łaskę. A ponieważ na sądzie powiedziałem, że moja działalność nie była skierowana przeciwko państwu litewskiemu i tak rzeczywiście uważałem, więc uznałem, że to ułaskawienie mi nie uwłacza. Podpisałem.

W czasie ogłoszenia kary śmierci nie podano mi terminu wykonania kary. Mimo oddzielenia od reszty świata w więzieniu się wszystko wie. Wiedziałem, że wyroki kary śmierci wykonywane są w Kownie przy pomocy gazu. Noc miałem dość makabryczną, z 8 na 9 maja. Zaczęła do mnie docierać groźba wyroku. 8 maja to był piątek, 9 - sobota. Oczywiście o żadnym spacerze nie było mowy, ale ja przez okno, to był parter, widziałem spacerujących na takim małym podwórku ludzi. Ludzie już wiedzieli o moim wyroku, zaglądali do okien, kiwali rękami, dodawali otuchy. Po obiedzie przyszedł do mnie naczelnik więzienia, pogadać po prostu: - "Po co w ogóle działać, po co to było, przecież studenci polscy teraz pracują w różnych urzędach, zajmują się przepisywaniem akt, w notariacie, są takie duże możliwości dla młodej inteligencji". Powiedziałem mu swoje - że każdy wybiera sobie

los po swojemu.

No i potem zaprowadzono mnie do sutereny, do kowala, skuto mi nogi i skuto mnie również z innym człowiekiem, więźniem. Obu nas wieziono do Kowna. Drugim był ten złodziejaszek polskiego pochodzenia nazwiskiem Bulwit. Zawieziono nas na dworzec. Znaleźliśmy się w pociagu osobowym, gdzie dla więźniów przeznaczono jeden z przedziałów. Była wspaniała pogoda. Po przeciwnym torze do Wilna jechały grupy Litwinów - 10 maja przypadały Zielone Świątki. Był taki niepisany zwyczaj, że do słynnej Kalwarii Wileńskiej pod Wilnem w Zielone Świątki szły zawsze w czasach polskich pielgrzymki litewskie. Polacy w tym dniu nie szli do Kalwarii /czynnej od wielkiego czwartku do końca października/. Właśnie teraz organizowano pielgrzymki z wielu stron Litwy i terozśpiewane pieśniami religijnymi po litewsku pociagi jechały do Wilna. A ja jechałem skuty z tym złodziejem, w towarzystwie policji do Kowna.

Ilu było więźniów politycznych w więzieniu w Wilnie nie orientuję się. Na spacerach spotykałem przeważnie kryminalistów i oskarżonych o jakieś drobne przestępstwa.

Więzienie w Kownie budowane jeszcze pod koniec wieku XVIII wtenczas znalazło się już w centrum miasta. Bardzo się rozrosło. Budynek ceglany, inny niż Łukiszki, wybudowane pod koniec wieku XIX, czyli o sto lat później. Przyjęto mnie tak przyjemnie, tak przyjaźnie. Strażnik, oficer litewski mówiący świetnie po polsku był dla mnie bardzo życzliwy. Zapytał, czy poszła prośba o ułaskawienie. Powiedziałem, że tak. To mnie nastawiło optymistycznie. W celi, do której mnie zaprowadzono przesiedziałem dosłownie kilkanaście minut i po chwili mnie wyprowadzono. Nie wiedziałem dlaczego, byłem dość zaszokowany. Wprowadzono mnie do innej celi. Potem dowiedziałem się, że ta cela była niepewna,

że tam są przepiękowane kraty. Był taki więzień, w więzieniu kowieńskim, który wszędzie piłował kraty i chciał uciekać. Dowiedziałem się później, że miał bardzo niski wyrok, ale pracując na zewnątrz więzienia postanowił uciec i zamordował strażnika, ukradł motocykl, uciekł, ale został złapany. No i oczywiście kara śmierci. A ciągle się odwoływał, więc wykonanie wyroku ciągle odkładano, a on w międzyczasie, gdzie tylko mógł, przepiękiował kraty. Każdego wieczoru po więzieniu chodziła dwuosobowa grupa, oficer i strażnik, który sprawdzał uderzeniem drewnianego młotka na długim kiju kraty. Tam, gdzie kraty były przepiękowane, więźniowie to przecięcie wypełniali chlebem. Po uderzeniu suchy chleb odpadał i przecięcie łatwo było sprawdzić.

Zostałem przeniesiony do innej celi. W nocy przyprowadzono mi jeszcze jednego więźnia o nazwisku Chretowicz, który w Wilnie chciał sprzedać pistolet. Sprzedał go tajnikowi i za to dostał karę śmierci. Nie był jeszcze rozkuty, z tymi kajdanami wszedł do celi.

Rano 10 maja przyszedł do nas strażnik, też dobrze mówił po polsku i powiedział, że państwo litewskie jest państwem katolickim, więc bądźcie spokojni, wyroków się nie wykonuje. Dwa dni macie spokoju, bo są Zielone Świątki. Litwini też dwa dni świętowali. Przy okazji powiedział nam, że Niemcy ruszyli na Holandię i Belgię, czyli zaczęła się na Zachodzie jakaś ruchawka. To mnie podbudowało. Po południu tego dnia obchodził wszystkie cele naczelnik więzienia Kowit w Kownie. Od naczelnika w Wilnie różniący się wyraźnie, jakiś inteligent litewski, starszy pan, potem po wejściu sowietów musiał uciekać, czyli jeszcze tylko miesiąc był naczelnikiem więzienia. O coś mnie po polsku zapytał, nie wiem, czy mu odpowiedziałem, ale to były tylko minutowe spotkania.

Tak doczekałem do 12 maja. Już rano słyszałem, że wyroki śmierci wykonuje się w nocy. Rano słysząc brzęk kotłów śniadaniowych poczułem, że jeszcze jeden dzień życia mi został. 13 maja w pewnym momencie wszedł strażnik i kazał nam opuścić celę - przeniesiono nas do innej celi. W tej znów odkryto przecięte kraty. Jak nas wyprowadzano, szli więźniowie z aparatem tlenowym do szwejsowania tych krat. Znalazłem się w innej celi, przesiadzałem kilka godzin, drzwi się otwały i wszedł oficer, który mnie przyjął w sobotę 9 maja. Oznajmił mi krótko: - "Panie Kondratowicz, jest pan ułaskawiony," z takim miłym uśmiechem. Wyszedł, ale potem wszedł strażnik, nie znający poza litewskim żadnego innego języka, pytał, jakoś zrozumiałem, po co tu był ten oficer, więc powiedziałem, myślę, że on po polsku rozumiał, że jestem ułaskawiony. Wtedy powiedział po rosyjsku, pokazując na dłonie: - "No a bumaga, bumaga?" Ponieważ papieru nie miałem, papier jest wszechmocny, zrozumiałem, nie ciesz się człowieku na to ułaskawienie. Nie ma papieru.

Mój towarzysz z celi też został ułaskawiony i nawet zwolniony z więzienia, kiedy przyszli Sowieci. On tą broń sprzedawał, chciał dostać parę litwów, dostać litewskie pieniądze, dużo czy mało, ale broń była kosztowna. Zrobił to nierozważnie.

Wróciliśmy potem do innej celi. Ja już byłem spokojny. Rano 14 maja przyszedł ten sam strażnik, który był w Zielone Świątki i powiedział: - "Proszę pana w nocy przyszło pismo, ale pan tak smacznie i wspaniale spał, nie chciałem pana budzić." Teraz zaczęło się czekanie na uprawomocnienie wyroku, po którym przenosili więźnia do celi ogólnej. Nie wiem dlaczego, może dlatego, że miałem wówczas 23 lata, ale cieszyłem się jakimiś względami w więzieniu. Byli tam różni więźniowie, siedziało paru szpiegów na rzecz Polski. Pamiętam pana Schabickiego, białego Rosjanin skazany za szpiegostwo na rzecz Polski. Zostało mu parę miesięcy do końca wyroku i drżał żeby przez ten czas

nic się nie stało, żeby mógł wyjść na wolność. Na jego przykładzie widziałem właśnie, że więzienie zabija, zabija gorycz i Sybir.

Byli tam również mordercy. Stosunek do morderców w więzieniu jest jednoznaczny - morderców się nie cierpi, w ogóle nie liczą się wśród innych więźniów. Jeden z takich więźniów gdyby nie miał jeszcze na swoim koncie pieniędzy, którymi mógł się opłacać za sprzątanie tej celi, nie wiem czy wytrzymałby długo - traktowano go po prostu nieludzko. Największymi względami cieszyli się złodzieje, działają sprytem, rękami, bez żadnej broni.

Tu się przekonałem, będąc w tej celi zbiorczej, że Litwini są mściwi, są bardzo mściwi. Widac to było po ilości więźniów skazanych za morderstwo, za uszkodzenie ciała. W celi zbiorowej, /byłem w niej do końca czerwca 1940/ było nas może dziesięciu, może dwunastu. Nie było takiego zagęszczenia, jakie było potem, gdy przyszedli Sowieci. Prowadzono nas co niedzielę do kościoła - na terenie więzienia była kaplica. Tam modliliśmy się razem z kobietami, więc mogliśmy wymieniać spojrzenia. Dla więźniów, poza stroną religijną, była to jakaś rozrywka. Dla prawosławnych była kaplica prawosławna, dla Żydów była synagoga, tak samo jak w czasach polskich.

W celi nadal czytałem książki, miałem względy lekarki w więzieniu, która stwierdziwszy bladość cery, co było naturalne w więzieniu, przepisała mi dodatkowe pożywienie, jakieś dodatkowe jajko, śmietana, coś takiego. Jakie były normalne posiłki już nie pamiętam. Ale w każdym razie więzienie na Litwie tej do roku 1940, było normalnym więzieniem europejskim. Nie miało ono za zadanie zniszczyć więźnia. Wystarczyło, że człowiek był w więzieniu, że nie miał wolności. A dodatkowe kary - absolu-

tnie nie. Strażnicy byli raczej bezosobowi, ale nie okrutni. Poza wypadkiem strażnika, który chciał moją radość z ułaskawienia jakoś osłabić, byli to normalni urzędnicy.

Dostawaliśmy czystą bieliznę, czystą pościel, fryzjer golił, strzygł, mieliśmy normalną kąpiel.

Sprzyjało mi wielu bardzo różnych ludzi. Może dlatego, że starałem się ich traktować normalnie, nie poniżałem ich. Może kierowali się tym, że taki straszny wyrok dostałem.

Dużo później dowiedziałem się, w jaki sposób dokonała się ta moja zamiana kary śmierci na dożywocie. W jakiś sposób zupełnie dla mnie nie zrozumiały, rodzice dowiedzieli się o moim wyroku /kary śmierci/ wydanym w zamkniętym szczelnie więzieniu. Na sali byli co prawda ludzie, ale przecież to jak igła w stogu siana. Litwini, jak mi się zdaje, nie mieli zwyczaju powiadamiać rodzin. Ktoś w każdym razie poinformował rodziców i wówczas tatuś rzucił wszystko i pojechał do Kowna. Poinformowano go tam żeby wziął znanego w Kownie adwokata i tatuś się do niego udał. Ten adwokat był podobno w dużej przyjaźni ze Smetaną, który z kolei miał przecież żonę Polkę. W każdym razie dzięki staraniom ojca i temu usposobieniu prezydenta Litwy Smetany zostałem ułaskawiony.

Doczekaliśmy się 15 czerwca 1940 w którym to dniu weszli do Litwy Sowieci. Widzieliśmy wszystko przez więzienne okno /jak już mówiłem więzienie było w centrum miasta/ - czołgi, ciężarówki i pieśni, wszystko. Pracownicy przyjęli to strasznie ponuro. Nadal spełniali swoje obowiązki. Drzwi od cel nie otworzyli, stanowisk swoich nie opuścili. Uciekł naczelnik więzienia, ten który nas w Zielone Świątki odwiedzał.

Skończyła się jedna epoka w Litwie i zaczęła druga. Dla Litwinów to była tragedia, dla nas nowa sytuacja. Z każdej nowej

sytuacji więźniowie się cieszą, bo to zawsze może wyjść w jakiś sposób na dobre. Ja zastanawiałem się, jak mnie potraktują. Zostałem skazany z paragrafu prawa litewskiego państwa, którego Sowieci nie uznawali jako państwa. Przyjąłem więc ten moment z nadzieją. Człowiek w takich sytuacjach jest tak zajęty swoją osobą... W więzieniu byli również komuniści litewscy skazani za działalność na niekorzyść państwa litewskiego, więc zastanawialiśmy się, czy i kiedy wyjdą. Czekaliśmy na to jak na pierwszą jaskółkę. A tu doszło do nas, że ich się nie wypuszcza, że bada się ich akta. Potem doszły nas głosy, że najpierw wyjdą oni a potem wypuszczą innych. I apelowano do nas pocztą pantoflową, nie oficjalnie, żebyśmy dwa tygodnie, tzn. do końca czerwca siedzieli cicho, spokojnie, bo i tak nas, nie kryminalnych, skazanych przez Litwę wypuszczą. Miałem więc nadzieję, że się zbliżam do wolności. Chociaż coś mi mówiło, że to nie bardzo możliwe.

Po uprawomocnieniu wyroku rodzice postarali się o adwokata, Niemca z Kowna, pana Lichtensteina. Rozmawiałem z nim na tematy polityczne. Wiadomości nie miałem żadnych, więc starałem się od niego czegoś dowiedzieć. Nie był zbyt rozmowny. Pytałem o liczbę zabitych Niemców, Potem, gdy opowiadałem o tym więźniom, mówili: - "Przecież pan Lichtenstein to hitlerowiec, obrońca hitlerowców w czysie puczu w Kłajpedzie. Na te tematy nie można z nim mówić." Przed 15 czerwca, podejrzewając, że jest to nasze ostatnie spotkanie, pan Lichtenstein powiedział: - "Nic panu nie potrafię doradzić, odsiedzi pan 5 lat. Ja już mam paszporty dla całej rodziny i w najbliższych dniach wyjeżdżam do Niemiec." Miał już podobno dokładne dane, że Sowieci wejdą, prawdopodobnie przez ambasady, przez poselstwa niemieckie w Kownie.

Do końca czerwca siedzieliśmy bardzo spokojnie. W tym czasie przeglądane były akta komunistów i zaczęto ich zwalniać. Ilu zwolniono, nie wiem. W każdym razie po tych dwóch tygodniach większych zmian w więzieniu nie było. Zmieniono naczelnika, nowy naczelnik więzienia, przedtem chyba 8, 9 czy 10 lat w więzieniu litewskim. Dokładnie po dwóch tygodniach zaczęliśmy ~~a~~ akcję. Wybraliśmy dzień, kiedy przynoszono z zewnątrz paczki żywnościowe dla więźniów i kiedy jeszcze starym prawem litewskim wydawano lepsze pożywienie wyznaczonym przez lekarza. To lepsze pożywienie w postaci jajek itd wyrzuciliśmy przez okno na zewnątrz, paczek nie przyjmowaliśmy, strażnicy musieli je odnosić z powrotem rodzinom, pawilon żeński zaczął krzyk, krzyczał w niebogłosość, w środku miasta, miasto się trzęsło w posadach. Tak trwało do południa. Podjęliśmy po prostu strajk głodowy. Przyznam szczerze, że sceptycznie przyjąłem tę akcję. Nie wierzyłem, za dużo wiedziałem o sowietach, o ich metodach. To nie są metody państwa cywilizowanego, to metody barbarzyńskie, nieludzkie, antyludzkie. Oprócz mnie nie wierzyło jeszcze tylko tych paru szpiegów polskich, między innymi pan Schabicki, któremu zostało dosłownie tydzień. czy dwa do końca wyroku. Bał się bardzo, że go Sowieci nie wypuszczą, bo był białym oficerem, emigrantem. Nie wiem czy wyszedł.

Zerknąłem przez okno, na wieżach strażniczych pojawili się żołnierze, jeszcze w starych, litewskich mundurach. Przez megafony zaczęto wzywać: - "Przestać krzyczeć! Przestać głodować!" To absolutnie nie pomogło. Kobiety wrzeszczały na całe miasto. Grupki ludzi zbierały się pod więzieniem. Po paru minutach, myślę, że były jeszcze ostrzeżenia, ale nie było słychać, zaczęto z tych wież strażniczych strzelać do okien. kule odbijały się od krat, rykoszety były najgorsze, nie wiadomo, gdzie ta
k

kula leci, nie wiadomo, gdzie się od niej schronić. Pojawili się pierwsi ranni, wołano lekarzy. W jakiejś celi wołano księdza, czy doszedł nie wiem. Oni strzelali do męskiego oddziału, do żeńskiego chyba nie. Po pierwszych strzałach wrzawa ucichła. Mój współwięzień, pan Schabicki, ten któremu został tydzień do końca wyroku schował się pod nary. Ja byłem na najwyższych narach, mówiłem sobie w duchu, że miałem rację, że to nie może się udać. Strajk w Sowietach, w tych strasznych czasach. Usłyszeliśmy dudnienie w drzwi. Władza więzienna dawno już przygotowała kotły z obiadem - momentalnie kotły stały przy drzwiach, drzwi się otwarły, strajk się skończył. Głodówka się skończyła.

Nie wiem, czy byli zabici, myślę, że tylko ranni. Wiedzorem chodziło dwóch cywilów. Mówili tak: - "To nie wyście głodowali, to nie wyście robili tumult i te... To byli trockiści." Samozadowolenie - znaleźli winnych. Chodzili z celi do celi, a ja w duchu sobie powiedziałem: - "Zawsze macie jakiś wybranych wrogów uzbrojonych czy innych. Nie stąpacie normalnie po ziemi, tylko bijecie głową o mur." Nikogo nie oskarżono o ten bunt, myślę, że nie. Musieli wysłać raport do Moskwy i wysłali, że to byli zakonspirowani trockiści, albo po prostu ci, którym się udało wyjść w ramach zwolnień, a którzy zostawili w więzieniu swoje polecenia. I tak się skończyło.

Nie wiem, czy rodzice znów się starali, choć już nie wierzę, że wtedy można było się starać. No, może za łapówki. To co działo się w więzieniach kowieńskich, rozeszło się szeroko po całej Litwie. Wówczas przeniesiono mnie z powrotem do Wilna. W Wilnie mimo mojego dużego wyroku, prowadzano mnie do roboty - przed więzieniem budowano chyba garaże, usuwano stare drzewa. Za murem widziałem bardzo dużo ludzi - rodziców, krewnych więźniów. Doszły słuchy, że pokazałem się na zewnątrz. Wszyscy byli

ciekawi. A ponieważ zdarzyła się ucieczka kilku więźniów z pracy poza więzieniem, więc władza więzienna poszła po rozum do głowy i sprawdziła akta pracujących tam. Odkryli, że na zewnątrz wychodzi człowiek z dożywociem, czyli ja i oczywiście wszystko się skończyło.

Zostałem zaprowadzony do pojedynczej celi. Nie miałem spaceru, żadnych wyjść, nic. Skończyły się warunki, które obowiązywały w cywilizowanym więzieniu. Skończyły się paczki z zewnątrz w takiej ilości, wszystko się skończyło. W tej pojedynczej celi byłem przez długie, długie miesiące, aż do połowy jesieni. Potem przeniesiono mnie do innego więzienia, w Wilnie tzw. Stefańskiego. Zdaje się, że zostało zniszczone w czasie walk o Wilno między Niemcami i Sowietami w 1944 roku. Tam spędziłem sylwestra 1940 roku.

Gdzieś wczesną wiosną 1941 roku zabrano mnie do transportu. Przywieziono mnie z innymi więźniami na dworzec wileński. Procedura chyba taka jak w całym Związku Radzieckim. Po wyprowadzeniu z auta więziennego, więzień musi klęczeć na peronie, zanim się go wprowadzi do wagonu. Trwało to kilkanaście minut, zanim ulokowano więźniów. Oczywiście byli strażnicy z psami, wilczurami. Wagon był oczywiście towarowy, przystosowany do transportu ludzi - były piętrowe nary. Po paru godzinach postoju pociąg ruszył w nieznanym kierunku, nie wiedziałem dokąd jadę. Zdażyłem napisać kartkę - nie wiem skąd miałem kartkę, dostałem jakiś ołówek, napisałem i wyrzuciłem przez małe okno w wagonie. Potem dowiedziałem się, że ktoś tę kartkę podjął, i według adresu, który tam napisałem, zaniósł do mojej rodziny. Tak rodzina dowiedziała się, że zostałem wywieziony. Napisałem, że jestem wywożony w głąb Związku Radzieckiego, w nieznanym kierunku. ~~Później się dopiero dowiedziałem, że rok do pięciu lat zmniejszone mi w dzień sylwestrowy 1940 roku,~~

O zmniejszonym wyroku do 5 lat też wtedy nie wiedziałem. Później się dopiero dowiedziałem, że wyrok do lat 5 zmniejszono mi w dzień sylwestrowy 1940 ro, 31 grudnia 1940. Tam się nie rozmawiało, tam się tylko rozkazywało. Było to ~~wczesną~~ wiosną może w połowie marca. Nie pamiętam dnia. To była jedna z pierwszych wywozek z Wilna. Przez to małe okienko trudno było zorientować się przez jakie miasta przejeżdżamy. Podróż trwała bardzo długo. Pamiętam, że dłuższy postój mieliśmy dhyba w miejscowości Kotłas. Człowiek się nie bardzo orientował w geografii Związku Radzieckiego. Ja miałem więcej pojęcia o miastach związanych z polską historią. Ale taka miejscowość jak Kotłas... Okazało się, że z tej miejscowości była budowana na północ, w kierunku Workuty linia kolejowa, o długości mniej więcej 2000 km. Część była już zbudowana, a dalszą część właśnie budowali między innymi Polacy wywożeni z terenów okupowanych przez Związek Radziecki. Tam nas wieziono, do miejsca do którego była zbudowana kolej.

Przez Moskwę nie jechaliśmy, tylko byrdziej na północ. Chyba Rybińsk, Jarosław. Podróż trwała dobre pół miesiąca, dwa tygodnie jechaliśmy. Pociąg szedł, zatrzymywał się. Ci którzy nas eskortowali, to byli już rutynowani przewoźnicy. Nigdy nie zatrzymywaliśmy się w pobliżu stacji, zawsze dalej, w miejscach, gdzie nie było mieszkańców. Zresztą w ogóle w Rosji, jak wiadomo, kolej budowano z dala od miast. Taka była zasada. Strażników nie było dużo, na kilka wagonów jeden strażnik. Transport był ogromny. Składał się chyba z 50 wagonów. Jedzenie bardzo skromne - suchy prowiant i to w postaci słonej ryby, porcji chleba, jakiejś gorącej wody. Choć, czy otrzymywaliśmy gorącą wodę nie bardzo pamiętam. W wagonie nie gotowaliśmy, kto to miał gotować. Porcje były głodowe, ludziom bardzo się

chciało pić. W wagonie był bardzo duży ścisk. Nie wiem gdzie było lepiej leżeć, czy na górnej narze, czy na dołnej. Na górę trzeba się było wdrapywać, człowiek młody to jakoś, na dole wszystko się bardzo sypało, kurz. I tak... Te nary to były zwykłe deski, żadnej wygody. Jak najbardziej prymitywny i jak najbardziej oszczędny sposób przewożenia ludzi. Czasami pociąg zatrzymywał się po drodze, nie wiem dlaczego. Nie wiem czy były jakieś wypadki śmierci w transporcie. W moim wagonie takiego wypadku nie było. Wiem, że w takich transportach znajdowali się ludzie, którym wyroki kończyły się w czasie podróży. W czasie wojny na ogół więźniów nie zwalniano, kiedy się większy wyrok kończył, otrzymywali informację, że będą więźniami do zakończenia wojny. Czyli nadal bez formalnego wyroku zostawali więźniami.

Z Kotłasu, jak długo można było jechać pociągiem - myślę że jakąś połowę drogi do Workuty - jechaliśmy koleją, a potem, gdy tory się skończyły, pędzono nas pieszo. Nie skuwali nas. Była tam masa różnych ogromnych rzek. Główna rzeka była Peczora potem jej dopływy. Ogromna przestrzeń aż do Oceanu Lodowatego, wszystko było objęte nazwą Peczerski Łagier. Nigdzie nie było żadnych mostów. Nas przewożono łodziami, czasem były promy. Proszę sobie wyobrazić, ile czasu trzeba było czekać zanim łódź wróciła z powrotem. W łodzi mieściło się do 30 osób. Łódź była zanurzona po brzegi i człowiek czekał, kiedy zatonie, ale na łodzi byli też NKWD-ziści, więc człowiek miał nadzieję, że jakoś ludzie dopłyną do drugiego brzegu.

Ja miałem jeszcze swoje ubranie z domu, typowe ubranie młodego człowieka w późnych latach trzydziestych. W tej nędzy jaka panowała w Związku Radzieckim, szczególnie na terytoriach, gdzie były obozy, taka odzież była byrdzo łakomym kąskiem dla starych

zadomowionych więźniów.

Administracja obozowa posługiwała się więźniami. Byli to oczywiście najczęściej kryminaliści. Również skazani inteligenci zajmowali jakieś stanowiska, np. pisarze. Na każdego zamręgo w obozie trzeba było sporządzać 9 protokołów, a nię było maszyn do pisania i kalki, więc każdy protokół trzeba było pisać oddzielnie. Ktoś to musiał robić. Tak samo lekarze pracujący w szpitalach, potrzebowali pomocników - byli inteligenci. Do wszystkich innych prac - w kuchni, składach żywnościowych, przy rozdzielaniu żywności, wybierano kryminalistów. Istniała wielka symbioza między administracją obozową a kryminalistami.

Pędzono nas okropnymi drogami, śnieg tażał, straszne błoto. Temperatura poniżej zera i to straszne błoto. Grupy ludzi posuwały się bardzo wolno. Odpoczynek był przy rzekach. Siadało się byle gdzie. Otaczały nas zawsze grupki więźniów, którym wolno było wychodzić z obozów. Mieli specjalne przepustki, bardzo często pomagali tym z administracji. Rąbali drzewo, robili prania - bezpłatna siła robocza. Oni byli zwolnieni, ale mieli już niewiele do końca wyroku. Wiedziano, że oni nie uciekną, to dawano im możliwość pracy za miskę strawy - bardzo wygodne. Oni nas właśnie otaczali, jak czekaliśmy na przejazd na drugi brzeg rzeki i z nimi szedł handel wymienny. Ludzie zaczęli pozbywać się ubrańbo Związek Radziecki w tym czasie przeważnie nie dawał ubrań więziennych. Wszyscy byli w swoich własnych ubraniach. Teraz właśnie następowała wymiana na odzież, którą ludzie nosili w obozach. A więc waciaki, wátowe spodnie. Nie wiem jak buty, ale moje buty były lepsze od tych, które bym tam dostał. Po prostu pozbywano się tego, żeby kupić sobie coś do jedzenia - zaczęliśmy odczuwać, że nie starczało nam jedzenia, któreśmy dostawali. Było zupełnie jałowe. Ludzie zaczęli tracić siły, Ja jeszcze nie narzekałem, ale inni tak. Ci starzy

więźniowie, mieli jakieś jedzenie - jakieś placki z mąki pieczone na tłuszczu, jakiś garnek kaszy. Za jedzenie dostawali od nas coś z odzieży. Strażnicy nie reagowali na to, im to nie przeszkadzało, bo wiedzieli, że jest to normalna wymiana i doświadczeń, i rzeczy. W każdym razie nauczyliśmy się tu jednego, że trzeba bardzo uważać, żeby cię nie okradziono.

Ja byłem okradziony. Dostałem coś z rzeczy bez guzików, więc musiałem starać się o guziki i coś do szycia. Byłem tym zajęty i zostawiłem obok to, co dostałem za swoje rzeczy - nie tylko waciak, ale jeszcze coś do zjedzenia. Starając się o coś do szycia zauważyłem, że jedzenia już nie ma. Stale trzeba było uważać na lewo i prawo, żeby cię nie okradli.

Wszyscy mówili po rosyjsku, a jakiej byli narodowości, nie orientowałem się.

Parę tygodni jechaliśmy koleją do Kotłasu, potem też, powiedzmy że cała podróż z Wilna do miejsca gdzie już nas pozostawiono, trwała prawie miesiąc.

Wreszcie po tych przeprawach przez rzekę stanęliśmy na miejscu, gdzie trzeba było budować nasyp pod późniejszą linię kolejową. Tam już były przygotowane baraki i tam nas zatrzymano.

Była to ogromna zona otoczona drutem kolczastym, z szeregiem wież strażniczych, na każdej wieżyczce strażnik, a w środku baraki, piętrowe z sienią po środku. Na lewo i na prawo sala dla więźniów, podwójne nary, parter i piętro. Nary były drewniane i człowiek spał na nich w czym chodził. Nic nie dawano do przykrycia. Pośrodku piec, prymitywny piec zrobiony z takiej żelaznej beczki po oleju, czy jakichś smarach, ale to była jedyna możliwość ogrzania tej ponurej sali i wysuszenia w ciągu nocy chociaż części odzieży - onuc, jakichś trepek, jakiegoś obuwia. Proszę sobie wyobrazić na tą dużą salę jeden piec - każdy chciał

się do niego dorwać, żeby rzeczy wysuszyć. Na takiej sali, trudno mi powiedzieć, ale chyba było 100 osób, może 120. Baraków było dużo. Recydywistów i kryminalistów, tych z długimi wyrokami nie umieszczano z nami. Mieli też płot druciany, tam było parę baraków. Oni zawsze przedostawali się do naszej części, obszaru zony i zawsze okradali.

Więźniów było coraz więcej coraz to innych. Co parę miesięcy zbierano ludzi i oni szli dalej na północ - przecież ten nasyp kolejowy wolno, ale się przesuwiał. Na ich miejsce przywożono nowych więźniów. Między innymi z północnej części Rumunii, z Bezarabii, Mołdawii.

Ludzie, zwłaszcza starsi, nie wyobrażali sobie, że jest takie miejsce na świecie, gdzie nie ma właściwie życia. Nie wyobrażali sobie tego miejsca. Wieźli ze sobą wszystko. Byli okradani przez kryminalistów, tzw urków. Nasi byli bardziej może doświadczeni. Litwini z głębi Litwy, ze Zmudzi, mniej się orientowali, najmniej orientowali się więźniowie z dawnej Rumunii. Jeśli wyszedł się załatwić w mocy, jak wrócił nie zastał już nic. Dlatego ludzie wszystko trzymali pod głową - wszystek swój dobytek, najważniejsze dokumenty, jakieś papierki, wszystko pod głową i człowiek drżał, co się stanie jak to opuści. Jak gdzieś wychodził, wszystko miał przy sobie, wszystko miał w ręce.

Poza tym trzymał zawsze łyżkę, która musiała być zawsze w pogotowiu. Łyżka była bardzo ważna. Dostałeś np miskę zupy i czym masz jeść? Z miską gdzieś latać? Zupa mogła się wylać! Trzeba więc było mieć łyżkę zawsze przy sobie. Jedzenie tzn zupę dawano regularnie, po powrocie z pracy, wieczorem, ale łyżkę człowiek traktował już zabobonnie, jako nieodłączny rekwizyt obozowego życia.

Dziś człowiek się uśmiecha, bo to co minęło to minęło; patrzy się na to inaczej. Nie tragizuje się. Ale tam każdy dzień był tragiczny. Jak wyglądał jeden dzień więźnia napisał Sołżenicyn "Jeden dzień Iwana Denisowicza" To jest wspaniale opisanie. Nigdy nie przypuszczałem, że ta niewolnicza praca doczeka się takiego literackiego opracowania. Napisałem list do Sołżenicyna, gdy był jeszcze w Związku Radzieckim i zaprosiłem go do Poznania na dwa tygodnie. Chciałem z nim trochę tutaj poobcować i opowiedzieć mu swoje własne doświadczenia obozowe. Otrzymałem od niego list, ale nie skorzystał z mojego zaproszenia.

Dzień zaczynał się bardzo wcześnie. Chyba o 6.00 była pobudka o 7.00 szło się do pracy. Nazwy różnych przedstawicieli administracji były niesamowite. Z różnych trzyczęściowych nazw robili jedną nazwę. Na przykład "pompotrudu" to pomocnik po trudowej cząści - to już był wielki urzędnik. Miał swoich pomocników, najczęściej spośród kryminalistów. Oni wbiegali do baraków z kijami i uderzali po narach i krzyczeli: - "Wstawać do roboty!" Najszczęśliwszym momentem było, kiedy człowiek miał zwolnienie lekarskie i kiedy wszyscy wstawali, ty sobie leżałeś jak pan na narach i mówiłeś odczep się / to bardzo delikatnie, używało się ostrzejszych słów/. - "A to dlaczego?"

- "A sprawdź tam według swojej listy." - "A tak, tak, to leż." I potem wszyscy strasznie zmęczeni wstawali. Wkładali zawilgoczone ubranie, buty. Oczywiście piec już nie grzał, chyba że w takim baraku był jakiś człowiek, który nigdy nie chodził na pracę, który był zwolniony i pracował po prostu w baraku jako taki stróż - jako taki, który dbał o barak, zamiatał, sprzątał. Drzewo zawsze mu przynosiliśmy, po całodziennej pracy w takim mrozie każdy starał się wziąć jakieś gałęzie, jakieś pnie,

jakieś kawałki drewna, bo jak się nie przyniosło to piec wygaszał i było chłodno.

Stróż po rosyjsku nazywał się dniewolnyj, był noszony przez nas na rękach. W ciągu dnia spał, a w nocy, gdy był to człowiek porządny, uczciwy, ciągle dokładał drzewa do tego blaszanego pieca. Wtedy było ciepło i suszyły się narze rzeczy. Rzeczy suszyły się również na jakiś sznurach; człowiek robił, co mógł, żeby rano można się było przyodziać sucho.

No i potem się szło do kuchni, dostawało się taką ilość chleba, jaką człowiek wypracował poprzedniego dnia. Była to najuroczystsza chwila dnia, muszę powiedzieć: święta chwila. Ten kawałek chleba... Po prostu... On musiał być wyważony do grama. Na niektórych kawałkach były jeszcze przykłute patyczkami dodatki, żeby było dokładnie. Jak tego nie było, zaczynała się wojna - "Dlaczego tyle nie ma, mnie się tyle należy!" Kilo chleba to była duża porcja. Średnio było 600 g. 300 g dostawały osoby, które nie wykonały normy. Normy były bardzo wysokie, ale w tym paranoicznym ustroju, wszystko zależało od tego, kto normy obliczał,

Wszystkie baraki były podzielone na brygady, które miały swoich brygadierów. Oni brygady zaganiali do pracy. Władze obozowe zawsze się mogły tłumaczyć, mówiły, że to więźniowie gonia do pracy, brygadierzy właśnie. Po brygadierze bardzo ważny był pisarz, on obliczał, ile wykonano, jak można sprawdzić śnieg, jak można sprawdzić wyręb lasu. Pisarz był oczkiem w głowie, reszta brygady kręciła się koło niego jak koło najważniejszej osoby. On i brygadier tworzyli taką sitwę, arystokrację w brygadzie. Pisarz musiał być również w kontakcie z lekarzem, czy tzw lekpomem, to jest lekarskim pomocnikiem w obozie. Było to bardzo ważne w związku ze zwolnieniami lekarskimi i przydzia-

łami chleba. Chleb był najważniejszy. Jeśli na przykład chory przed chorobą, przed zwolnieniem dostał kilo chleba, to przez np trzy dni choroby dostawał też po kilo chleba. Niektórzy chleb zjadali od razu, potem cały dzień byli głodni. Niektórzy chleb dzielili na trzy, na cztery części i jeszcze parę kawałków zjadali w czasie pracy. Tylko co z tym chlebem zrobić - jeśli się go zostawi, to może być skradziony?

Czasami przynoszono nam chleb do baraku, ale przeważnie się szło do specjalnego baraczku, gdzie go wydawano. To był ten święty czas rano. Z chlebem szło się do kuchni i dostawało miskę czegoś, co się nazywało zupą, a właściwie zupa nie było. Tyle że coś w niej pływało.

O godzinie 7.00 wyprowadzano nas z zony, tzn z obozu, urzędowo stał przy bramie przy wyjściu lekarz, bo jeszcze w ostatniej chwili mógł ktoś na przykład zemdleć, i strażnik, który szedł z nami czy dwóch strażników jak była nieraz większa partia. Z brygadą szedł jeden i wygłaszał sakramentalne słowa: - "Krok w prawo, krok w lewo, będzie uważany za próbę ucieczki i bez ostrzeżenia będę strzelał." Mimo to, kiedy ktoś z więźniów dostrzegł coś żyjącego w trawie, poruszającego się - mogła to być jaszczurka, albo mysz polna - rzucał się na nią. To był ten krok w prawo, w lewo... Strażnik strzelał.

Praca była różna, przede wszystkim, ciągle nas liczyli, liczyli po kilkanaście razy. W drodze powrotnej sprawdzali jeszcze, czy ktoś czegoś nie niesie, zwłaszcza gdy miało się taką pracę, gdzie można było coś ukraść albo coś dostać.

Najpierw pracowałem przy budowie nasypu kolejowego, linii Kotłas-Workuta. Były już pierwsze cieplejsze dni środkowej wiosny, powiedzmy koniec kwietnia początek maja. Słońce przegrzewało już nawet dość silnie. Najpierw trzeba było zdjąć mech

z ziemią torfową, potem warstwę żółtego piasku. Piasek z początku był raczej sypki, a potem coraz bardziej gliniasty i wreszcie dochodziło się do głębokości powiedzmy 80 cm, do tzw wiecznej zmarzliny, gdzie była ziemia przemieszana z lodem.

Sytuacja była tragiczna. Był to okres intensywnej późnej wiosny. Na dalekiej sowieckiej północy późna wiosna i wczesne lato to okres bardzo krótki, ale bardzo intensywny. Na ogół bardzo słoneczny, bardzo ciepły, tak, że wszystko rośnie dniem i nocą. Noce są też jasne, no i wkrótce po niewielkich wykopach człowiek znajdował się prawie po kolana w wodzie.- topniała wieczna zmarzlina. Przy tym okropnym obuwiu, które przepuszczało wodę, praca ta była okropna. Człowiek stał, jakby bosy. Woda była lodowata, słońce jej nie ogrzewało, zdążyło tylko ogrzać o parę stopni. Woda gromadziła się w dużej ilości, żadnych pomp, nic tam nie było. Człowiek zdawał sobie sprawę, że po paru tygodniach takiej pracy, dostanie jakiegoś okropnego reumatyzmu, po prostu nie wytrzyma w tej wodzie. A trzeba było pracować. Trzeba było tymi łopatami, kilofami rąbać.

Obok nasypu kolejowego budowana była droga dla samochodów, ciężarówek. Budowana była w sposób bardzo prymitywny - po prostu ścinano drzewa i rzucano je na tę drogę. Jechało się więc po tych belkach. Proszę sobie wyobrazić, jak to wyglądało: belki gniły, przełamywały się, wyskakiwały, strasznie. Tymi prymitywnymi drogami dowożono częściowo ziemię, częściowo żwir, częściowo jakieś skamieliny, i to wszystko sypano na to coś tam wykopali.

Wstawaliśmy o 6.00 i o 6.00 wracaliśmy do obozu. W tym czasie przywożono nam coś ciepłego, jakąś zupę. Ale resztę solidniejszą dostawaliśmy wieczorem. Choć ta solidniejsza to też była rzadziutka zupka. Na drugie zapiekanka z kaszy, która też nie

wszyscy dostawali, bo całe pożywienie było związane z normą, którą należało wykonać. To z kolei zależało, jak już mówiłem, w dużej mierze, jak kto żył z pisarzem, jak on u siebie skalkulował.

Po dwóch tygodniach przy pracy na nasypie, kiedy myślałem, że będę pokręcony reumatyzmem, w sposób dla mnie nieoczekiwany, bo nie zabiegałem, nie starałem się, ani nikogo z tej elity obozowej nie znałem, raptem przenoszą mnie na nowe miejsce. Suche, bez wody. Tam w okół były różne wzniesienia, niedaleko trasy kolejowej. Trzeba tam było kopać głębokie studnie, które potem po założeniu materiałów wybuchowych rozrywano i wydobywano tłuczeń do budowy linii kolejowej. Była to praca samodzielna, byłem tam sobie panem, nikt mnie nie gonił. Studnie były dość głębokie, ale osypania się ziemi nie trzeba się było obawiać, bo był to właściwie kamień.

Filnujący nas strażnicy przedreptując z nogi na nogę stali, dzieci w kobiałkach przynosiły im pożywienie. Mój język rosyjski stawał się coraz doskonalszy, byłem ciekawy świata i raz po raz, stojąc 3, 5 metrów od strażnika, zamieniałem sobie z nim kilka słów. O koszałkach opałkach. Kiedyś, kiedy tak rozmawiałem, zjawił się dzieciak z jedzeniem i powiedział do ojca: - "Czemu ty rozmawiasz z tym faszystą". Tak byli wychowani - w nienawiści do innych ludzi. Dla dzieciaka to było jednoznaczne. Potwór mordujący ludzi. Oni nie mordowali, oni nie. Mówiłem do niego: - "Dlaczego mnie tak nazywasz, ja przecież nie jestem faszystą. Czy ty wiesz w ogóle, kto ja jestem?" Ale ten dzieciak dalej rozmowy nie podejmował, a ja uważałem, że nie ma co dyskutować. Strażnicy byli bardzo różni, w tym systemie prawo jest bardzo surowe. Wszystko zależało czy w człowieku było jeszcze trochę człowieczeństwa. Jeśli tak, współczuł tej

doli, ale on sam się bał, że przez to współczucie może być ukarany przez nie współczującego wyższego od siebie. Współczucie się zmieniało, kiedy pojawiał się na koniu haczelnik obozu, czy ktoś inny. Wtedy od razu się zmieniał.

Strażnicy to była prymitywna masa, to byli ludzie, którzy uciekali do służby państwowej, najczęściej z kołchozów, gdzie nie mieli żadnego życia, niedouczeni, prymitywni. Spełniali tu jedynie bez żadnych zastrzeżeń rozkazy przełożonych - to było jedynym celem ich życia.

Po kilku tygodniach mojej pracy, coraz więcej pojawiało się wśród więźniów oficerów, podoficerów i żołnierzy z armii sowieckiej, oskarżanych o coś na froncie w wojnie z Niemcami. Jeżeli żołnierz czy oficer po otrzymaniu urlopu nie wrócił w odpowiednim terminie, spóźnił się, a mógł się spóźnić z różnych powodów, choćby z takiego, że nie mógł dojechać - spotykała go okropna kara. Największą karę do 25 lat więzienia, najwyższy u nich wyrok, dostawali ci, którzy znaleźli się w niewoli niemieckiej i zostali potem odbici; zamiast się cieszyć, że wrócił taki do swoich, skazywano go na długoletnie więzienie. Takich ludzi było coraz więcej wśród nas. Były tam wszystkie narodowości: Gruzini, Ormianie, Uzbegy, wszyscy byli. Polaków też było bardzo dużo. W miarę jak Sowieci się umacniali w krajach nadbałtyckich przybywali do nas Litwini, Łotysze. Estończyków nie przypominam sobie, Łotyszy przypominam sobie bardzo dobrze. Potem zaczęli się pojawiać Rumuni z tzw Bezarabii, inaczej zwanej Mołdawią. Do tego były wszystkie narodowości ze Związku Radzieckiego. Siedziałem też z obywatelami amerykańskimi. To były ofiary żon Rosjanek, ofiary nostalgii i patriotyzmu tych Rosjanek. Jeden chyba był obywatelem kanadyjskim. Oni pożenili się z Rosjankami, które znalazły się w Kanadzie i

Ameryce i te nostalgicznie nastrojone, namówiły swoich mężów, aby z całym dobytkiem przyjechać do Związku Radzieckiego. Tym bardziej, że przecież propaganda dla naiwnych mówiła, że jest to kraj mlekiem i miodem płynący; kraj, który zbudowali robotnicy i chłopi. Przyjechali z całym dobytkiem. Załadowali się na statki, potem do Władywostoku i tam ich zdjęto, od razu z tych statków. Skazano na długoletnie wyroki - 12, 10 lub 8 lat. Co się potem z nimi stało, nie wiem. Imponowali mi tym, że byli zawsze wspaniale ogoleni. Ja na przykład goliłem się szkłem, łamało się szkło tak, żeby został ostry kant i człowiek się tym golił. Natomiast oni zachowali jakieś narzędzia do golenia mimo bardzo ~~si~~ częstych rewizji.

W obozie co kilkanaście tygodni były absolutne rewizje, znienawidzone przez więźniów. Ludzie mieszkając w takim baraku starali się go tak urządzić, żeby przypominał własny dom - ciągle coś się tam znosiło, To wszystko wyrzucano na ziemię, szukano scyzoryków, nożyków. Przy okazji kradziono. Wszystko wywracano do góry nogami, a przecież każdy z więźniów miał coś własnego, coś bardzo ważnego, coś co nie było przestępstwem, ale dla strażników, tych kacyków więziennych jakaś osobista, prywatna własność to już było coś. Czy to zazdrość jakaś, czy co? To wszystko było deptane, wyrzucane, a człowiek musiał znowu zbierać te wszystkie święte drobiazgi.

Wszystkie baraki były strasznie zapluskwione. Pluskwa to chyba w języku jednego z narodów, które zamieszkują Związek Radziecki nazywa się drewnianą wszą, dlatego że gnieździ się w drzewie świerkowym, w szczelinach. A ponieważ wszystkie baraki były budowane z drzewa świerkowego, tych pluskw było... To za tym baraki nie były wietrzone. Więc pluskw było strasznie dużo i proszę sobie wyobrazić, jaki tam mógł być sen. Wszystkie
pl

pluskwy skupiały się na suficie i potem jak bombki spadały na człowieka. Wyczuwało się je pod bielizną, jak takie krwawe baki one się napiły krwi i potem... Jak ta bielizna wyglądała!

Bieliznę dostawaliśmy, kąpiele też były, o to dbano, bo bez kąpieli byłyby straszne epidemie. Raz w tygodniu była kąpiel, ale cóż to za kąpiel - w misce wody. W misce wody człowiek musiał się umyć.

Wszystko nie było, gdyby była wesz, wszyscy chorowalibyśmy na tyfus plamisty. Rosjanie sprawę dezynfekcji pilnowali nauczonym doświadczeniem z pierwszej wojny światowej. Ale to nie była oznaka jakiegoś miłosierdzia, tylko po prostu ekonomiczne względy. Przecież byliśmy istotną siłą roboczą i to za niecały kilogram chleba dziennie.

Chyba w 1942, czyli kiedy jeszcze ważyły się losy wojny, kiedy ciągle jeszcze zwyciężali Niemcy, przynajmniej tam u nas na północy wprowadzono nowy podział jeśli chodzi o tygodnie - zrobiono dziesięciodniówki. A więc zlikwidowano tygodnie siedmiodniowe, a zrobiono 3 dni wolne w miesiącu, czyli tydzień miał dziesięć dni. Mieliliśmy wtedy dzień wolny od pracy. Absolutny wyzysk.

Na terenie obozów wywieszano różne transparenty, hasła. Jedno z haseł było podobne do tego niemieckiego "Arbeit macht Frei", a więc wychowanie przez pracę. Byliśmy przecież zdemoralizowani, więc trzeba było nas odpowiednio zmusić do pracy. Żeby nas wychować. O hasłach niemieckich dowiedziałem się później, ale to mi tak właśnie pasowało - że to właściwie jest wszystko podobne. Podobne rzędy, podobne metody, nawet w więzieniu ludzi. Później z różnych wspomnień, dowiedziałem się, że chyba przy 50^o mrozie do pracy nie powinno się było iść, były jakieś przepisy. Ale przecież administracja otrzymywała

premię i zaszczyty od wykonanej pracy, od tego co wykazali na papierze, więc starali się, nikogo w ogóle nie zawiadamiano o żadnym regulaminie, nikt nie widział żadnych regulaminów. Nawet przy 50° mrozu oni twierdzili, że jest 48°. Ja pracowałem i przy 55° mrozie. Całe szczęście, że na północy nie ma wiatrów i ten mróz można jakoś przetrzymać. Gdyby były wiatry, byłoby to nie do wytrzymania.

Stosunki między więźniami były raczej zgodne, czuliśmy się w jednej, no, w jednakowej niedoli. Nie było żadnego rozdźwięku między Polakami i Żydami, wśród Żydów było bardzo dużo ludzi, którzy przed wojną w Polsce byli skazani na kilkuletnie więzienia za czerwone przekonania. Po zajęciu przez Sowietów wschodniej części Polski tych ludzi uważano za prymitywy, skazywano ich nadal, nie szanowano ich absolutnie, pozbywano się tych ludzi. Oni w warunkach obozowych uważali się za Polaków. Siedzieli również Ukraińcy - kapłani greko-katolicy, z lwowskiego, ze Stanisławowskiego i tarnopolskiego. Z takim kapłanem się spotkałem. Rozmawiałem z nim na temat stosunków polsko-ukraińskich. Lubiłem te dyskusje. Robiłem aluzje do, powiedzmy sobie szczerze, do wrogiego nastawienia do Polaków, i to nie tylko z powodu traktatu o mniejszościach. Polacy traktowali mniejszość ukraińską z jakąś powagą, dając mniejszościom spore prawa. Ale również Polacy jako Chrześcijanie. U wielu Polaków nie było wrogości na przykład ja z północnej Polski nie miałem wrogości do Ukraińców, a oni mieli. I kapłan, który ciężko pracował i miał też spory wyrok, przyznawał mi rację. Tyle, że były to racje spóźnione. Nazwiska tego kapłana nie pamiętam. Tam na ogół nikt się nie przedstawiał.

Oczywiście, że jeden Polak popierał drugiego, oczywiście, ale popierali się również więźniowie między sobą. Popierali się.

Opowiem taki charakterystyczny wypadek, jak ludzie obserwo-

wali jeden drugiego. Ja przeważnie leżałem na górnych narach, tam było lepiej, i zwykle przed zaśnięciem zajmowałem się taką medytacją, żeby nie stracić refleksu, przy tym braku witamin człowiek traci pamięć, więc przypominałem sobie różne wydarzenia z historii, literatury, modliłem się. Modliłem się słowami, które pamiętałem. Widocznie byłem obserwowany przez innych. Pewnego razu... Paczki z terenów nie okupowanych przez Niemców, po wielu, wielu tygodniach a może miesiącach dochodziły, Opackowane w bardzo grube płótna, Dochodziło to, co się nie mogło zepsuć - więc suchary, jakieś główki czosnku, jakieś zasuszone sery, oni mają takie gomółki, owcze czy inne. Pewnego razu przychodzi do mnie pewien Uzbek, nie znałem go, był w tym baraku, ale nie był w mojej brygadzie, i wręcza mi taką malutką kuleczkę zasuszonego sera, a może dwie kuleczki. Dzieli się ze mną tym, co sam dostał, miał tego tak niewiele. Pytam: - "Dlaczego ty mi to dajesz? Nie jesteś ani moim bratem, ani swatem.", a on mówi: - "Ty się nie łajesz i ty się modlisz do Boga." - muzułmanie w odróżnieniu od Rosjan nigdy nie używali przekleństw, żadnych, wszyscy byli jakys tacy agresywni w religii, ale sami są bardzo łagodni, - "A ty skąd wiesz?", - "Ja widziałem, jak ty siedzisz na tych narach." Byłem wstrząśnięty.

Jeśli chodzi o samych Uzbeków czy muzułmanów. My mamy często takie obojętne podejście i rozumienie naszych katolickich sakramentów - święcona woda itp. Dla niektórych jest to jedyna i najskromniejsza więź z sakrum. Dla muzułmanów taką więzią z ~~ska~~ sakrum przy braku wody było przed każdym posiłkiem poślucie trzech palców. Jakas taka skromna oblucja, co świadczyło, że on nie zerwał łączności z religią.

Na tematy religijne się nie mówiło - każdy kontemlował swoją wiarę, czy też resztki wiary w sposób prywatny i osobisty,

nikt tego nie manifestował. Tutaj człowiek został sprowadzony do materii do przedmiotu. Było oczywiście wielkim szczęściem zachować resztę łączności z Bogiem, z sakrum, ale czy wielu zachowało? Widzacie jak na lewo i prawo ludzie umierają? Jak ich zwłoki... Najpierw nikogo się nie zawiadamiało o śmierci, bo przez kilka dni można było dostawać chleb za nieboszczyka. Pamiętało się nazwisko, wyciągało się rękę, mówiło: - "Jest" i... Jeśli już nie można było dłużej ukrywać, to widziało się, jak takiego człowieka ciągnięto za nogi przez barak, a potem przez obóz, zakopywano. Ziemia była zamrożona, więc potem kiedy śnieg stopniał, kości nosa, kości palców wystawały nad ziemię. Więc można było traktować ludzi jak jakieś przedmioty, jak rzeczy.

Na pewno część ludzi zachowała wiarę - tak to już jest: jak trwoga to do Boga. Zorganizowanych modlitw nie wolno było robić, było to potraktowane jako przeciwstawianie się ideologii państwowej, jako sprzeciwianie się temu, co głosi państwo. Duchowni ukrywali, że byli duchownymi. Ja poznałem tylko kilku księży greko-katolickich. Katolickich księży w moim otoczeniu nie spotkałem. Oni tak samo musieli pracować.

Śmiertelność wynikała z różnych przyczyn, Na przykład głupi strażnicy zatrzymywali pędzoną w nocy grupę więźniów i zamiast kazać im palić ogniska, kazali przysiąść, w nocy spadł śnieg, przyszedł mróz i całe grupy zamarzały. Na śmierć.

Jak było za dużo zwolnień, to oczywiście obniżano chorem temperaturę, mimo że była wysoka. Od lekarzy, czy wykonujących obowiązki lekarzy, żądano, żeby dawali jak najmniej zwolnień. Wiem to z opowieści znajomych lekarzy i pomocy lekarzy. Żeby pozbyć się ludzi, którzy "darmo chleb jedli" odsyłano wycieńczonych ludzi do specjalnych obozów, tzn. ludzi, doszczętnie wychudzonych właściwie tuż przed śmiercią, którzy na skutek awitaminozy byli ani do pracy ani do życia. Odsyłano ich do

tak zwanych obozów dochodiagów /czyli: "doszedł do krańców możliwości". Odsyłano ich, bo w obozach musiała być zdolna siła robocza.

Kopiec te studnie doczekałem w końcu momentu, kiedy Polaków po umowie Sikorski-Majski zaczęto zwozić do jednego obozu. Nie zwalniać a zwozić. Warunki materialne były tu takie same, ale stosunek strażników był bardziej kulturalny, bardziej ludzki. Zaczęto nas zwozić ze wszystkich stron do jednego obozu, ale wszystko w ramach Peczor-łagru, czyli obozów w dorzeczu Peczory. Przedtem byliśmy przemieszani, tam było bardzo dużo obozów.

W nowym obozie warunki były bardzo prymitywne. Podstawą nadal był chleb i też nie można było dostać więcej niż kilogram. Również wieloosobowe pomieszczenia, 200, 250, do 300 ludzi. Też nary, takie parterowe podwójne nary, w środku kilka beczek po smarach, które służyły za piece grzewcze. I tam suszyliśmy rzeczy. Oczywiście, Polacy mieli jeszcze coś ze swoich rzeczy, ale to wszystko się niszczyło, rozkradane przez kryminalistów sowieckich. Poza tym wymieniano się na szmaty, watówki, na żywność, też na machorkę. To taki tytoń, taki twardy, nie wiem, ja nie paliłem. Polaków wtedy było bardzo dużo, ale ilu, nie wiem.

Zaczęto stopniowo, bardzo powoli zwalniać. Nie wiem, czy to polega na prawdzie, ale słyszałem potem, że niektórzy z kryminalistów starali dowiedzieć się nazwisk swoich współpartnerów, żeby przy okazji wydostać się ze Związku Radzieckiego. I udawało im się. Jeżeli ktoś, kogo znali zmarł, to taki kryminalista podawał nazwisko tego zmarłego za swoje. Przy bałaganie w aktach, częstym braku w aktach fotografii, bardzo często były tam tylko odciski palców, to gdy ktoś z kryminalistów podał się za kogoś z Polaków to mu się udawało. I dużo takich kryminalistów przedostało się do armii Andersa.

Miejscem, gdzie ci zwalniani Polacy mieli dojechać, był Buzułuk, miasto daleko na południu Związku Radzieckiego nad Wołgą. Codziennie zwalniano porcję osób. Przyglądaliśmy się temu, ja i moi znajomi, byliśmy bardzo zdziwieni z powodu niektórych zwalnianych osób. Czym się kierowano - dziwiliśmy się. Na razie trzymano się umowy, nie patrzono na to, gdzie kto się urodził, gdzie kto mieszkał, Ale również nie patrzono na narodowość, byliśmy trochę zdziwieni, że zwalniani są również Litwini. Ale potem zauważyliśmy, że część Wilnian zwalniana nie ~~jest~~ jest. Zdaje mi się, że mimo umowy nadal stosowano zasadę, że wszyscy, którzy pochodzą z terenów, które w umowie Ribentrop-Mołotow znalazły się po stronie radzieckiej, są obywatelami radzieckimi. No a Wilno znalazło się w tej strefie.

Tak więc byli zwalniani niektórzy Litwini, natomiast powiedzmy sobie mnie i całego szeregu innych więźniów, którzy pochodzili z Wilna nie zwalniano. Byliśmy zdziwieni, na razie słownie protestowaliśmy, ale protesty u nich niewiele znaczą. A już po bitwie pod Stalingradem kiedy nabrali otuchy, że nie zostaną pobici przez Niemców, absolutnie zaczęli stosować zasadę - wszyscy którzy należeli po 28 września do terenów zaanektowanych umową Ribentrop-Mołotow, ci wszyscy są obywatelami radzieckimi, i nie mogą być w wojsku polskim i nie mogą być ~~w~~zwolnieni. Nikt, wtedy myśleliśmy, że to może jakaś pomyłka, że brak akt, a to była świadoma robota.

Nie tylko, że nas nie zwalniano, ale kazano nam iść nadal do pracy. Kiedy czekaliśmy na zwolnienie, ja już nie miałem nic do sprzedania ani do wymiany, ale inni w tym czasie pozbyli się wszystkiego, a nadciągała zima. Tam zima jest bardzo ~~w~~wczesna. Nasz pierwszy odruch to bunt, wyrzuciliśmy obuwie za druty kolczaste i oznajmiliśmy, że nie pójdziemy do roboty. Tak

jeden dzień, drugi dzień. Dwa dni pozwolono nam, powiedzmy - strajkować czy leserować, a po dwóch dniach siła wypędzono nas i boso poszliśmy do lasu. Tam pracowało się przy wyrębie lasu. Popędzono nas do pracy wieczorem i w nocy siedzieliśmy w lesie. Myślę, że zrobiono to chyba na złość, żeby nam dokuczyć, nie chcieliście w dzień, to macie teraz pracować, To takie podłe, wstrętne. Okropne to wszystko. Proszę sobie wyobrazić jak się czuliśmy.

Nie podjęliśmy pracy, zaczęliśmy palić ogniska i grzać się przy ognisku. Może kilka drzew zostało spiłowanych, ale tak po prostu, żeby podtrzymać ogniska. Przyjechał konno naczelnik obozu, coś tam perorował, strażnicy nie ingerowali, trochę krzyczeli. Zwykle strażnicy stali raczej na krańcach kawałka lasu, nigdy nie wchodzili do środka. To chyba z ostrożności, żeby na niego nie napaść i nie wyrwać mu broni.

Pamiętam tej nocy, jeden Żyd czy Polak, raczej chyba Żyd polski, młody człowiek nie wytrzymał tej sytuacji, tego zimna i chciał się stamtąd wydobyć, Odrąbał sobie palec, sadząc, że go zaraz zabiorą do lekarza, do obozu. Nic z tego - kazano mu podwiązać rękę i trzymać tak, żeby krew nie ściekała. Potem był jeszcze sądzony za samookaleczenie. Ilość godzin przeznaczonych tej nocy na pracę przesiedzieliśmy, nic nie zrobiliśmy, byliśmy w lesie. To wszystko odbiło się na naszych porcjach żywnościowych.

Wyrob lasu dla mnie był szokujący. Rabaliśmy las zima nie usuwając śniegu tylko ubijając go. Scinaliśmy drzewo, zostawiając 1,5 metrowe pnie. To jest niesłychane! Ta poręba wyglądała strasznie, to był zniszczony las. Jeszcze raz przekonałem się, jaki to jest system. Pamiętam, bydło nie miało paszy. Nie mogli przygotować paszy, chociaż w ciągu wiosny i lata, w sumie

może trzy miesiące, ale bez nocy, wszystko niesamowicie szybko rośnie. Ogromne grzyby w lesie, bujna, wysoka trawa i oni nie mogli przygotować paszy. Żeby więc tę paszę jakoś dostać, to rabano brzozy i pasiono krowy gałazkami. Krowy padały, a brzozy rabano półtora metra nad ziemią. Latem były sianokosy, ale nigdy nie przygotowano tego tyle, żeby wystarczyło.

Po pewnym czasie tak osłabłem, to był wynik awitaminozy, że znalazłem się w szeregu innych Polaków w obozie specjalnym. Takie były zwyczaje, że osłabionych, "żyjących na koszt innych" przenoszono do specjalnych obozów. Zaprzyjaźniłem się tam z dwoma polskimi Żydami. ~~Jednym z nich był~~ Jednym z nich był doktor Lipmann z Krakowa, a drugim - Zdzisław Steinberg z Warszawy, inżynier radiota, po studiach politechnicznych w Londynie, brat znanego polskiego filozofa, pani Diny Steinberg, która wykładała chyba w Wolnej Wszechnicy Łódzkiej przed wojną. /W czasie wojny, żeby uratować się od więzienia, czy Majdanka, czy Trebłinki ożenił się z nią prof. Tadeusz Kotarbiński. Przyjęła nazwisko Jadwiga Kotarbińska. Po wojnie mieszkali przy ulicy za warszawskim Bristolem/. Z tą dwójką osób najczęściej obcowałem - mieliśmy wspólne tematy. Ale w zasadzie przeważały tematy dotyczące żywności, jedzenia. Byliśmy bardzo głodni. Wymyślaliśmy takie spotkania po wojnie, na których miały być dania obozowe. Znaczą bez mięsa - zapiekanki z kaszy. Do takiego spotkania po wojnie nie doszło. Dr Lipmann adwokat z Krakowa zmarł. Zmarł też Zdzisław Steinberg.

Dr Lipmann nabawił się jeszcze oprócz szkorbutu pelagry, czyli choroby spowodowanej brakiem wszelkich witamin B. Znalazł się w baraku szpitalnym, tam troszkę ludziom dawano białka, ale on już nie miał żadnego łaknienia, a może siły, nie jadł. Po jego śmierci znaleziono troszkę jakiegoś roztopionego masła

czy coś.

Zdzisław Steinberg zmarł również w tym szpitalu. Śmierć jego nastąpiła w sposób tragiczny. Wyleczył się z awitaminozy i miano odesłać go do wyrębu lasu. Bardzo się tego obawiał. Inżynier, specjalista i to w nowej specjalności, radiota. Chciał zostać dłużej w szpitalu i zrobić coś co robiło tysiące ludzi - żeby być chorym, wstrzykiwano sobie pod skórę mazut, drobinę mazutu. Powstawał wrzód tzw flegmona. Zdzisław zrobił to samo, ale wstrzyknął za głęboko i zaraził krew. Przy dzisiejszym rozwoju medycyny może byłoby to wyleczalne, ale tam... Zawołano mnie do niego. Byłem przy jego śmierci. Prosił, żebym zawiadomił rodzinę. Przyrzekłem, ale nie mogłem tego zrobić przez długie lata po wojnie. Zawiadomiłem od razu Uniwersytet Łódzki, bo myślałem, że jego siostra Jadwiga Steinberg znajdzie się tam. Potem przez wiele lat nie udało mi się umieścić w żadnym piśmie, ani w Tygodniku Powszechnym, ani w Życiu Warszawy jego nekrologu, chociaż tak bardzo enigmatycznie go formułowałem. Zawsze cenzura czegoś się doszukała. Wreszcie zdecydowałem się wysłać nekrolog do "Więzi", którego redaktorem był Tadeusz Mazowiecki. "Więź" mi odpisała, że nie udało się nekrologu ogłosić, cenzura uniemożliwiła, ale zainteresowali się tą sprawą i dostałem odpowiedź od Turowicza, który dowiedział się od pana Mazowieckiego, że pani Jadwiga Kotarbińska jest właśnie Dina Steinberg. Nawiązałem z nią kontakt, bardzo mi podziękowała, ale wiedziała już o śmierci brata, otrzymała moją pierwszą wiadomość z Uniwersytetu Łódzkiego.

Ja miałem początki szkorbutu, z którego wyszedłem, Leczenie było strasznie prymitywne. Parzono garącą wodą igły świerkowe. Ten wywar, stał w beczce w środku baraku w tykim przedsionku; barak składał się z dwóch części i takiego przedsionka. Tam

właśnie stała ta beczka, czasem dwie beczki zimnego już wywaru, jeden kubek i wszyscy pili z tego jednego kubka.

Gdy się trochę poprawiłem, czułem się już na siłach, jedna pani doktor, Rosjanka z Syberii spowodowała, że zostałem pomocnikiem lekarza tzw lekpomem. Jej los był straszny, a była to szlachetna kobieta. Nie wiem czy z Omska czy z Irkucka, czy z Tobolska w każdym razie, z Syberii. Jej męża aresztowano w 1937 roku. To było jedno oskarżenie - trockista i koniec. Jej dano spokój w ciągu roku, tak że ona jeszcze żyła ze swoją staruszką matką i z synem, ale potem i ją aresztowano z dzieckiem. Trafiała do obozu w Kazachstanie, po pewnym czasie odłączono ją od dziecka, zostawiono je nie wiadomo gdzie, a ją wysłano do jednego z obozów w dorzeczu Feczory. Tam pracowała jako lekarz opiekujący się chorymi na szkorbut. I dziwnym trafem ja zostałem jej pomocnikiem. Nic nie wiedziała o swoim mężu, gdzie jest, nic nie wiedziała, co się dzieje z jej synkiem, co się dzieje z matką. Matka się chyba bała do niej pisać. Nigdy nie widziałem jej uśmiechniętej.

Tu moje warunki poprawiły się znacznie. Mieszkałem przy chorych na szkorbut, robiłem różne zabiegi według zaleceń pani doktor. Kiedyś zauważyłem, że ona czyta. Książek w obozach nie było, a jeżeli coś było, to przechodziły bez przerwy z rak do rak, były po prostu zaczytane. Były na wagę złota. Gdy zobaczyłem u niej książkę, ucieszyłem się bardzo. Bardzo chciało mi się coś czytać. Autorem książki był Hercen, wiedziałem oczywiście, kto to jest, ale nigdy nic jego nie czytałem. Książka była wspaniała. Jej tytuł po rosyjsku brzmiał "Byłoje i dumy". Nie był przetłumaczony zbyt dokładnie, brzmi on "Rzeczy minione i rozmyślanie".

Pani doktor pożyczyła mi tę książkę zastrzegając, że jest

na wagę złota. Książka była już trochę rozczytana. Zaniósłem ją do siebie do baraku, sporo przeczytałem, już ją nawet skończyłem, miałem ją już nawet oddać, gdy przyszedł służący tej pani, /przy takim lekarzu zawsze był ktoś do pomocy, najczęściej jakiś starszy więzień, mający już mały wyrok do odsiedzenia/ i mówi: - "Pani doktor prosi o tę książkę Hercena". Dałem mu, nie minęło kilkanaście minut, on znowu przychodzi i mówi, że pani doktor prosi mnie do siebie. Zdziwiony poszedłem, a ona mówi: - "Przecież powiedziałam panu, żeby pan tę książkę strzegł jak źrenicy oka, tymczasem brakuje w niej ileś kartek." Domyśliłem się, że to chwalipidy. Byłem zajęty czymś innym, ktoś wszedł do mojego pokoiku, do tej dyżurki i zabrał część kartek na tzw bankrutki czyli skręty. Wśród tych chorych na szkorbut oczywiście przeważali Rosjanie, przeważali złodzieje, kryminaliści i wielu prawdopodobnie było z Moskwy.

Zacząłem na własną rękę robić rewizje, oczywiście wszystko działo się poza prawem. Zrobiłem rewizję, zacząłem przetrząsać ich materace, i część tych kartek odzyskałem. Ale byłem tak wściekły, że tego u którego znalazłem kartki zaprowadziłem do dyżurki i może na kwaśne jabłko go nie zbiłem, ale mocno go poturbowałem. Na cały barak krzyczał, po rosyjsku: - "Polak bijet Ruskowo". Powtarzał to kilkanaście razy i zemdlał. Byłem uświadomiony już jakollekarski pomocnik, że zastrzyk z eteru może bardzo często postawić człowieka na nogi. Zrobiłem ten zastrzyk. Rozdawano właśnie kolację, wszedł lekarz dyżurny, który co wieczór obchodził baraki. To był młody lekarz, bardzo młody Uzbek, który służył w Armii Czerwonej i miał nieszczęście trafić do niewoli niemieckiej a potem drugie nieszczęście - został odbity. Dali mu 25 lat więzienia. Powiedziałem mu o tym poturbowanym przez mnie. Tamten już przyszedł do siebie.

Na drugi dzień, długo będę pamiętał tego głównego lekarza, zwanego "gławwraczem", więźnia Ukraińca Błoginowa.. Zaczął mi tłumaczyć, że w Związku Radzieckim nie biją ludzi. Nie bardzo byłem przekonany. Podniesionym głosem powiedziałem: - "Wie pan, jeśli na takiej olbrzymiej przestrzeni, na całym północnym terytorium jest jedna książka, przechodzi z rąk do rąk, ja dostaję ją na parę dni i muszę oddać w całości, a ktoś mi zabiera na skróty, to..." Doktor powiedział, że oni wszyscy są tacy, jakby solidaryzował się ze mną, ale na drugi dzień wypędził mnie z tego przytuliska, jakim był szpital i znalazłem się znowu w obozie gdzie rąbano las.

I znów miałem szczęście. Starszym felczerem tam był mój kolega szkolny z Wilna. W czasie symbiozy sowiecko-niemieckiej zrobił się za folksdojczą, a kiedy symbioza się urwała i wybuchła wojna, został uwięziony i znalazł się w obozie. W brygadzie, która chodziła do lasu pełnił rolę pisarza. Przez pewien czas w obozie były tylko trzy dni wolne w miesiącu, czyli tygodnie były dziesięciodniowe, potem jednak wrócono do siedmiodniowego tygodnia. Mieliśmy więc jeden dzień wolny w tygodniu, a on mi dawał drugi dzień wolny, czyli pracowałem tylko 5 dni. To tak jakby człowiek dostał wspaniałą porcję mięsa czy czegoś - jeden dzień wolny. Nazwiska tego kolegi nie pamiętam. Polegało to na dawaniu zwolnienia lekarskiego. Ale mało, że mnie dawał zwolnienie lekarskie, za moją sugestią dawał jeszcze zwolnienie kolejno różnym ludziom z brygady, czyli znajomości w socjaliźmie są ważne. Ponieważ przy zwolnieniu porcja chleba zostawała taka jaka była dzień przedtem, mogłem jakoś tak operować racjami chleba, że większość ludzi w brygadzie dostawała tę najwyższą porcję chleba. Oczywiście miałem pokłask w brygadzie, mogła pracować nie pracować. Mróz dochodził do 55°, Boże mój, tylko wiatru nie było. Ale ta zbita wata w ubraniach, to wszystko nie dawało ciepła. Przychodzono do mnie: - "Pamiętasz,

dawno nie miałem kilograma chleba."

Byli tam Żydzi, byli inni z jednej ojczyzny, z jednego kraju. Byli również bardzo dziwni ludzie, w Polsce międzywojennej karani za komunizm. Ich komunizm polegał na tym, że przed pierwszym maja jakiś tam działacz przychodził, dawał im pieniądze i kazał stary inlet z poduszek oczyścić z pierza i wrzucać na druty telefoniczne, jako manifestacja. Policja go aresztowała i dostawał jakiś wyrok. Ale niestety, Sowieci po przyjeździe na tereny polskie ludzi tych nie uważali za działaczy i wkrótce, zdaje się, że najwcześniej, wsadzali do obozów. Dawali im wyroki, dla mnie było to niezrozumiałe.

Pracowałem w kilku szpitalach. Pracować w szpitalach udawało się dzięki, tu trzeba powiedzieć szczerze, dzięki współpracy inteligencji. Tu nie było podziału narodowościowego. Lekarze najczęściej byli więźniami, część była też wolnych, mieszkających poza obozem. To byli dawni więźniowie - nigdy się nie dopytywałem. W jednym z obozów doktorem był major polski, doktor Szeiber z Kalisza, po studiach na Uniwersytecie Poznańskim na Wydziale Medycznym. Kiedy doszło do porozumienia polsko-sowieckiego na terenie Związku Radzieckiego powstała nie tylko ambasada, ale szereg konsulatów. I on pracował w jednym z konsulatów na północy Związku Radzieckiego. Kiedy stosunki zostały zerwane, komu się nie udało wyjechać, został aresztowany. I on został aresztowany, znalazł się w obozie. Chciałem dostać się do pracy w szpitalu. Zgłosiłem się do niego i coś miałem mówić - że jestem studentem wydziału historii i filologii polskiej Uniwersytetu im. Stefana Batorego? Powiedziałem, że jestem po kilkuletnich studiach medycznych. A on mnie zapytał: - "Niech pan mi wymieni paru profesorów stamtąd, lekarzy". Ja oczywiście znałem wielu profesorów, ale byłem już wówczas

po kilku awitaminozach i musiałem bardzo ćwiczyć swoją pamięć. Nie mogłem wymienić nazwiska żadnego profesora. A przecież z synem prof. Gilera byłem w jednej drużynie harcerskiej. Spojrzał na mnie i powiedział: - "Chłopie przyznaj się, że robiłeś co innego." Musiałem się przyznać, ale on mnie przyjął do pracy.

W szpitalu tym było jeszcze szereg innych lekarzy. Był lekarz niemiecki, dr Beker, też więzień, który chcąc uniknąć aresztowania przez hitlerowców w Niemczech wyjechał do kraju antyhitlerowskiego, a tam znalazł się w obozie. Dr Beker był chirurgiem, bardzo cenionym, w łaskach, leczył wszystkich wolnych z okolicy. Miał tam duże łaski i żył jak arystokrata obozowy.

Miałem kiedyś asystować przy operacji, która się nie odbyła, bo pacjent zmarł. Pacjent był więźniem postrzelonym przez strażnika w ramach skramentalnego "krok w prawo, krok w lewo, budustrielać". Dostał postrzał chyba w brzuch. Przywieźli go do szpitala. Doktor Beker był nieobecny. Ja jako jego asystent, z drugim asystentem Łotyszem chyba nazwisko Pocz /naczelnikiem stacji za Dyneburgiem na Łotwie/, rozbieraliśmy więźnia. Strasznie krwawił. Jakoś tamowałem krew prześcieradłem. Doktor przyszedł, miał popołudniową siestę, był wściekły, arystokrata obozowy był wściekły. Zaczął się przygotowywać do operacji, musiał bardzo dokładnie umyć ręce. Mył te ręce, mył a my tutaj... Rany strasznie krwawił i jednocześnie bluźnił takimi okropnymi słowami... Rosjanie umieją takie wielopiętrowe bluźnierstwa używać. Byłem przerażony. To były karkołomne rosyjskie przekleństwa. One są takie wielopiętrowe jak drapacze chmur w Ameryce. Straszne przekleństwa. Mimo, że człowiek już kilka lat był w obozie, do tych przekleństw nie mógł się przyzwyczaić. A on kłał, kłał strasznie. Tam się miesza Pana Boga i Matkę Boską,

wszystko razem jest pomieszane, straszne. Tamowaliśmy z kolegą krew i raptem skończyły się przekleństwa, wszystko się skończyło i doktor przestał myć te swoje chirurgiczne ręce. I cisza. Doktor przyszedł i zaczął tego człowieka, który miał być operowany kilka razy uderzać po twarzy. ~~AXXX~~ Byłem zbulwersowany - on też więzień, lekarz... A on był już przekonany, że tamten już nie żyje. Przerwano mu drzemkę poobiednią.

Drugim lekarzem w tym szpitalu był Stanisław Totmen, Polak, tzn mówił po polsku - tam się ani nazwisk ani narodowości nie wymieniało. Dr Totmen chodził o dwóch kulach. Pewnego dnia przywieziono do szpitala żonę strażnika, czyli osobę wolną. Najmniejsze uchybienie w przypadku osób wolnych, a co nie daj Boże - śmierć, od razu traktowano jako zemstę pracowników oddziału i było sadzone i to o wysokich wyrokach. A tu przywieziono kobietę, w którymś miesiącu ciąży i prawdopodobnie na tle ciąży nastąpiła tzw uremia czyli zatrucie moczem. Przywieziono ją w południe i od razu zebrała się cała ogromna komisja wszystkich lekarzy, którzy pracowali w szpitalu. Ja z Łotyszem pełniliśmy przy niej dyżury, wiedząc, jaka to ogromna odpowiedzialność. Nie odstępowaliśmy od chorej. W pewnym momencie widzę, że zaczęły jej ściekać z oczu łzy i po prostu nawet laik by stwierdził, że następuje agonia. A ja przecież byłem tylko przyuczo- nym sanitariuszem. Wybiegłem szukać dyżurnego lekarza. Lekarzem dyżurnym był właśnie dr Totmen. Jak mu powiedziałem, o co chodzi, zauważyłem ciekawą rzecz. Dr Totmen cały czas, jak go znałem, chodził o kulach. Teraz kule wziął pod pachę i z stumetrówką przybiegł do szpitala i mówi: - "Dawaj nóż". Ręce mi się trzęsą, pytam: - "Jaki nóż panie doktorze." - "Dawaj nóż do chleba". Myślałem, że on chce jakieś narzędzie chirurgiczne, a to trzeba przygotować, to też bywało robiłem, byłem tam również siostrą chi

chirurgiczna, wszystkim bywałem, ale dałem mu nóż od chleba. Okazało się, że on istotnie stwierdził zgon, ale trzeba było ratować dziecko. To było bardzo ważne, bo gdyby jeszcze dziecko nie uratowali, to nie wiem. Zrobił ordynarne carskie cięcie tym nożem, wyjął płód i całe szczęście dla nas... Uremia uremia a matka została zatruta martwym płodem dziecka. Udało nam się. Za ten przypadek wyroku nie było. Dziecko miało już taką znacierowaną skórę, musiało już być martwe półtora dnia lub dwa dni w łonie matki. Tak właśnie zoboczyłem dr Totwena bez kul i było mi bardzo przyjemnie, że nie jst kaleką. Kiedyś w Skupsku dziwnym trafem robiąc kolekcję obrazów Witkacego zauważyłem na jednym z obrazów dr Totmen - podpis. Niestety twarzy tego doktora z łagru już sobie nie przypominam. Mimo, że pisałem na lewo i na prawo do kolegów Witkacego na żaden list żadnej odpowiedzi nie otrzymałem.

Dr Totmen zajmował się tam wszystkim. Był lekarzem od wszystkiego, ale w zasadzie był chirurgiem kosmetycznym. I odbyła się tam jedna operacja kosmetyczna. W jednym z obozów niedaleko szpitala /jeden szpital przypadał na kilka obozów okręgu/ między innymi zajmowano się piłowaniem pni na deski. Jeden pilarz stawał na pniu a drugi w dole, i tak się piłowało, Tartaków tam nie było. I takim nieszczęśliwym przypadkiem piła upadła ~~z~~ i rozerwała jednemu usta z lewej i prawej strony. Przywieziono go do szpitala i dr Totmen zrobił mu kilkadziesiąt szwów, w tych prymitywnych warunkach, z jednej i drugiej strony. To był wspaniały lekarz, wspaniały chirurg kosmetyk. Udawał kalekę, bo wtedy trudniej o przemieszczanie z obozu do obozu. Co się z nim stało, nie wiem.

Tu chciałbym jeszcze powiedzieć o takim więźniu, starszym panu nazwiskiem Szałaj. Inteligent, dużej klasy inteligent,

był ministrem oświaty w Republice Białoruskiej, ale jeszcze w czasie, kiedy bolszewicy byli jeszcze troszeczkę liberalni, a Republika Białorusi miała jeszcze jakąś autonomię. Potem, gdy się zmieniło na rzecz absolutnej dominacji Rosji, centralizacji, pan Szałaj znalazł się w obozie. ~~Fopakiuk~~ Pełnił tam jakąś funkcję. Trzymał się dość dzielnie.

Bardzo się zaprzyjaźniłem z wspaniałym człowiekiem Pawłem Aleksiejewiczem Lichaczowem. Leningradczyk, wielkiej klasy inteligent, ogromnej kultury, znał 9 języków. Między innymi znał japoński, staro-holenderski. Był wykładowcą w Akademii Morskiej, przygotowującej oficerów floty. Został aresztowany i uwięziony w czasie represji w roku 1937, kiedy po zabójstwie Kirowa, sfingowanym przez Stalina, po to, żeby przetrzebić Leningrad, wyniszczyć inteligencję, narzucić swoje. Spotkałem tam również ciotkę Szostakowicza tak przelotnie, ona też była z Leningradu. Ja byłem lekarskim pomocnikiem, on zajmował się dokumentacją wszystkich zmarłych. Należy pamiętać, że tam nie było maszyn do pisania ani kalki, a on musiał na każdego zmarłego napisać 9 protokołów. Proszę sobie wyobrazić, ile to było roboty. A zmarłych było masę, codziennie. Więc Paweł Aleksiejewicz pisał i pisał. A jeśli znalazł troszkę wolnego czasu, chodziliśmy na spacer. Odganiaaliśmy się od ogromnej ilości komarów i muszek.

Cóż z tego, że była pogoda, w tych krótkich miesiącach wiosny i lata skoro najpierw były miliony komarów, a w drugiej połowie miliardy muszek. Jak się jadło nie w pomieszczeniu, ale na zewnątrz, miałeś pełną miskę komarów i muszek. Dostawaliśmy takie siatki na głowę, były nawet ładne, robione z kolorowych materiałów, z przodu tylko była siatka, no ale czy można było w tym pracować? To było straszne. Sowietci nie używali komór gazowych. Po co? Klimat, słabe wyżywienie, straszne warunki,

stada pluskiew, komary i muszki.

Szliśmy więc na spacer i odganiaaliśmy się stale gałęziami lub ręką, rozmawialiśmy o różnych rzeczach. Paweł Lichaczow był pesymistą, ja byłem optymistą. On wiedział, że po wyjściu z obozu nie można trafić do dużego miasta, poza tym obowiązywała zasada osiedlania północy. Nie wierzył, że wróci kiedykolwiek do Leningradu, ale że ~~x~~ zostanie w jakimś miasteczku, w jednej z północnych republik, że będziemy tam w dwójkę mieszkali, ja będę dawał lekcje gry na fortepianie /przed wojną zajmowałem się między innymi muzyką/, a on będzie uczył języków i tak sobie... Ale nie tylko o tym mówiliśmy. Mówiliśmy o wszystkich rzeczach: o przeczytanych książkach, o planach. Znał język polski, ale tych "ę", "ą" nie mógł wymówić. U jakiegoś więźnia znalazł polskie wypisy do języka polskiego, przedwojenne "Mówią Wieki" i tam znalazł wiersz "Smutno mi Boże" Słowackiego i to też przetłumaczył na język rosyjski. Tłumaczył z wielu języków na rosyjski. Tłumaczył staroholenderską poezję. To była poezja barokowa, taka trochę udziwniona, miłość mierzona cyrklem i takie coś. Tłumaczył głównie w Leningradzie, ale i później w obozie też. Podziwiałem Pawła Aleksiejewicza.

Co przyczyniło się, że go aresztowali? Myślę, że i nazwisko Lichaczow, bo to nie jest nazwisko proletariackie. Interesował się bardzo muzyką. Wśród jego przyjaciół był między innymi jakiś krewny Rymskiego-Korsakowa. Oni z tą grupą przyjaciół chodzili do filcharmonii i robili coś co w Związku Radzieckim było dziwne, nieprawdopodobne. Szli do filcharmonii z dywanem, rozkładali go na balkonie i słuchali na leżąc muzyki. Nie chcieli widzieć dyrygenta - żeby się nie sugerować, różni są dyrygenci, jedni dyrygują szalenie wymownie, ale spokojnie, a inni inaczej. I to podpadło: grupka czterech czy pięciu osób słucha koncertu

na leżać. Ale mało, wracali potem do któregoś spośród nich i grali na fortepianie - pewne części utworów czy nawet całe prze-grywali w wersji fortepianowej. To już było w ogóle oko i ucho i chyba jednym z powodów aresztowania było właśnie to. Gdy wyszedłem z obozu interesowałem się jego losem. Prosiłem rodziców, żeby w Wilnie, gdy front był w Prusach Wschodnich, żeby wysłano jakieś paczki. Rodzice mi odpowiedzieli, że to się nie udało, nie przyjmowano paczek. Ale przez swoich znajomych, bardzo kulturalnych ludzi, chyba cichych dysydentów z Moskwy otrzymałem w ścisłej tajemnicy adres profesora Dymitra Lichaczowa, z Leningradu /wspaniały człowiek dużej kultury, świetny znawca literatury staroruskiej, kilkakrotny więzień Wysp Sołowieckich/. Napisałem do profesora Lichaczowa do Leningradu sądząc, że jest między nim a Pawłem Aleksiejewiczem jakiś powinowactwo, pokrewieństwo. Okazało się, że jest to tylko zbieżność nazwisk. Ale dowiedziałem się, że Paweł Aleksiejewicz Lichaczow wrócił z obozu do Leningradu, że był w związku pisarzy tego miasta i że zmarł. Wspominam tego człowieka z wielką sympatią. Z dr Lipmanem i Sternbergiem, byłem bardzo blisko, ale tamte znajomości były dość krótkie, obaj szybko zmarli, a z Pawłem Aleksiejewiczem Lichaczowem znaliśmy się dłużej, naprawdę była między nami przyjaźń.

Po pewnym czasie zostałem uznany za człowieka, do którego można mieć zaufanie o tyle, że można go wypuścić poza teren obozowy. Oczywiście z odpowiednią przepustką. Pracowałem w różnych dziedzinach, usługiwałem wolnym, rąbałem drzewo, przynosiłem wodę, za to dostawałem jakąś dodatkową strawę. Ale oni sami nie rozmawiali, w ogóle na terenie Związku Radzieckiego rozmowa z innym człowiekiem była to rzecz rzadka, dlatego, że jeden bał się drugiego, Tym bardziej jeszcze rozmawiać z więźniem -

może gdybyśmy się bardziej zaprzyjaźnili. Ale poza wszystkim byłem też Polakiem. Ja nawet chciałem porozmawiać, żeby lepiej sobie przyswoić język rosyjski, ale rozmowy ograniczały się do tematów dotyczących spraw życia codziennego, bytowych. Szerzych tematów nie było.

Kiedy miałem już opinię sanitariusza, lekarskiego pomocnika w czasie sianokosów byłem wysyłany jako lekpm na pola, na "wolności". Pewnego razu o mało nie zginąłem. W tych bezkresnych lasach łatwo było zabłądzić. Pewnego razu postanowiono, że grupa więźniów mających prawo poruszania się poza obozem plus wolni pracownicy pójdą na grzyby. Mieliśmy je zebrać i potem solono je w beczkach. Na skutek tego, że nie było nocy, grzyby rosły tam do niesłychanej wielkości - takie ogromne grzyby człowiek widywał tylko na przedstawieniach dla dzieci, dochodziły do metra. No i poszliśmy na te grzyby, tyralierą, mnie się nie chciało iść, bo wszystkie grzyby były przedemną zbierane, więc się oddaliłem i zacząłem zbierać na własną rękę. I tak zabrnąłem, w takie ostępy, że uważałem się za zgubionego. Wszędzie była bardzo duża pajęczyna a pod nogami grząskie błoto. Jak trwoga to do Boga, powiedziałem sobie, że muszę z tego wybrnąć i z daleka usłyszałem gwizd parowozu, Parowozy Sowieckie, te z fabryki Feliks Dzierżyński miały kształt szczupaka, pyska szczupaka, i takim przeciągłym gwizd. Akurat jechał ten pociąg po naszej zbudowanej linii kolejowej. Poszedłem w kierunku tego gwizdu i doszedłem na właściwą ścieżkę. Tam oczywiście wszyscy skończyli już zbieranie grzybów i tylko zastanawiali się gdzie ja jestem. Grzybów przyniosłem ogromny worek, ale to była miazga a nie grzyby.

Chyba gdzieś w 1943 roku stanąłem do badań lekarskich. Po tych badaniach część więźniów zwalniano do wojska. Ja też uwa-

żałem, że może mi się w ten sposób uda wydostać. Stamtąd bym już jakoś czmychnął. Tylko że ja chyba miałem dziedziczne żylaki i jeszcze, na tle awitaminozy, owrzodzenia na całym ciele. Leczono mnie z tego przelewaniem krwi: brano krew z żyły i wstrzykiwano w pośladki. Takich seansów miałem 7, 8 czy 10 i wrzody znikły nawet bez śladów. Pozostały tylko ślady na nogach. Te ślady po owrzodzeniach plus żylaki... Młoda lekarka badała mnie i powiedziała: - "Panie Stanisławie pan nie może iść do wojska. Jak panu pękną żyły, to jak to będzie?" Proszę sobie wyobrazić, w jakim wyszedłem nastroju. Siedziała cała ogromna masa tych, którzy chcieli z obozu wydostać się. Pytają, czego jesteś taki smutny. A ja mówię: - "Bo mnie nie biorą do armii." A oni: - "Ty idioto, ty się ciesz!" Nie wiem, czy oni tam z dobrej woli siedzieli, czy był jakiś pobór, nie wiem. Możliwe, że był jakiś pobór.

W jakich obozach byłem, już nie wiem. Wiem tylko, że były to obozy okręgu Peczory. W ilu byłem nie pamiętam, ale w wielu. Ale spróbujmy: najpierw kiedy pracowałem przy budowie kolei, potem jak przygotowywałem i kopałem drogę, przygotowywałem kamień pod pokłady, potem byłem w obozie chorych na szkorbut, na pelagrę, potem jak wyzdrowiałem, to zacząłem pracować jako pomocnik lekarza, a jak mnie stamtąd wyrzucono to byłem na wyrębie lasu. Zresztą nigdy nie liczyłem tych obozów. Było ich 5, 6, może 8. I coraz bardziej mnie pędzono w kierunku Workuty. Wreszcie znalazłem się przed Workutą, Workuta była już miastem okręgowym, gdzie były wszystkie władze, które sprowadzały się do władzy NKWD. I właśnie stamtąd mnie zwolniono. Myślę, że te obozy były bardzo dobrze oznakowane, ale gdzieś tam u władz NKWD, bo oni musieli wiedzieć wszystko. Ewidencję na pewno prowadzono dokładną. Ale nas, więźniów absolutnie to nie intere-

sowało.

Zadanie mieliśmy jedno, żeby przeżyć dzień i to niezbyt głodno. Niektórym się to udawało, może do nich i ja należałem. Starałem się nawet kosztem bycia trochę głodnym nie jeść byle czego. A niektórzy jedli byle co, zbierali, co zostawało i nie do jedzenia, zostawało wyrzucone na śmietnik. Jeszcze stamtąd zbierali i jedli. Strasznie to było przykre, że niektórzy jedli to, co odchodziło z odchodami. Gruboziarnista pszenica, żołądki ludzkie jej nie trawiły i ona odchodziła z fekaliami, tam grzebano. Tak że- powiedzmy sobie, nie łakomiłem się i przez to może nie chorowałem, a tak to większość ludzi... To było pozorne dodatkowe pożywienie, Najlepszy dowód widzieliśmy na Litwinach - rosłych, wysokich, dobrze zbudowanych, którym mówiliśmy: - "Drodzy, nie przemęczajcie się, pracujcie żółwiowo, bo to, co dostaniecie za wykonanie normy i ponad normę, to nie zrekompensuje waszego wysiłku, straty waszych sił." No niektórym przenówiliśmy do przekonania. Innym zdawało się, że dodatkowe porcje, które polegały na zapiekankach z kaszy trzeba się starać, walczyć, zdobywać. Rezultaty były jasne po paru tygodniach. Z rosłych, dobrze zbudowanych mężczyzn zostawali ludzie wychudli i odsyłano ich do obozów dla chorych na szkorbut, niektórzy umierali. A Polacy jakoś tak prawie wszyscy zdawali sobie sprawę, że metoda żółwia bardziej popłaca.

Pewnego dnia zostałem wezwany do bramy i tam powiedziano mi, że pojedę do Workuty. Workuta była takim centrum, do którego prowadziła linia kolejowa, choć miała być budowana dalej do tzw Karskiej Bramy /po rosyjsku Karskich Warot/. Workuta była osiedlem z szałasów, takich niskich baraków, ale już wydobywano tam węgiel. Węgiel znajdował się tam bardzo płytko i jest to węgiel najwyższej klasy - antracyt. Mimo, że miasto przedsta-

wiało widok dość prymitywny, budynek NKWD był okazały a w środku, tam gdzie mnie przyjął enkawudzista były skórzane fotele, elegancko. Zakomunikował mi, że jestem zwolniony z łagru i że mam wybrać miejsce osiedlenia się. Powiedziałem, że moim miastem jest Wilno. A on, że to jest jeszcze pas przyfrontowy i nie można. I sam z dobrej i nieprzymuszonej woli, mówiąc, że jest pochodzenia polskiego, zaproponował mi teren w Związku Radzieckim, gdzie było najwięcej Polaków. To było żytomierskie, w rejonie Żytomierskim znajduje się Winnica. Zastrzegł, że do samej Winnicy nie można, bo do miasta nie można, "ale proponuję panu dobry kołchoz pod Winnicą, polski kołchoz".

Dopiero później dowiedziałem się, jak doszło do tego zwolnienia. Nastąpiło dobre 6, 7 miesięcy przed upływem tych pięciu lat, na które zostałem skazany. Zostałem więc zwolniony przedterminowo. Otóż, gdy Niemcy zostali wypędzeni z Wilna, przyszedli z powrotem Sowieci, przyjechali działacze Związku Patriotów Polskich i dla celów propagandowych, żeby pokazać, że coś znaczą, że mają wpływy, żeby zdobyć sobie sympatię, załatwiali różne sprawy. Wśród nich przyjechała żona Jerzego Sztachelskiego powojennego ministra zdrowia, który przed wojną był zwolnieniem Związku Radzieckiego, powiedzmy - był komunistą. Pracował wtedy w znanym na całym świecie Instytucie Rakowym w Wilnie /razem z doktorem Melczarem, zamordowanym przez Niemców/. Był harcerzem w tej Jedyńce Żeglarskiej w Wilnie. Pan Sztachelski ożenił się z działaczką panią Dziewicką, oficjalnie uważaną przed wojną za komunistkę, chociaż pochodziła z rodziny katolickiej. Ona właśnie była w biurze wojskowym i przyjechała do Wilna. Polacy to oczywiście wykorzystali, składali prośby, petycje. Moi rodzice i rodzeństwo mieszkali wtedy na krańcach Wilna, za Wilnem. O pobycie pani Dziewickiej w Wilnie i o tym,

że ludzie przynoszą do niej prośby dowiedział się mój kuzyn, śp. Józef Kondratowicz przedwojenny oficer polski /zmarł w czerwcu 1989 roku we Wrocławiu/. Złożył podanie o moje zwolnienie, na ręce pani Dziewickiej. Nie wiem, ile było podań ze strony innych osób, w każdym razie ponieważ ona chciała udowodnić, że Związek Patriotów coś znaczy i że to nie tylko hasła, spowodowała moje uwolnienie.

Zostałem zwolniony na początku listopada 1944 roku. Dostałem odpowiednie papiery, tak że mogłem zaraz ruszać. Od razu w pierwszym mieście, gdzie trzeba było przejść odwszawianie byłem w takiej dezynfekcji, poszedłem do miasta i zaraz dwóch członków podeszło do mnie i zarządzali papierów. Okazało się, że wszędzie sprawdzali dokumenty. Dobrze, że te papiery przy sobie miałem, bo bym nie wyjechał stamtąd. W papierach było, że jestem zwolniony, że jadę tam a tam. Czy było w nich określenie obywatelstwa, nie pamiętam, ale oni nas i tak uważali za swoich.

Zacząłem wyprzedawać się z tego, co miałem na sobie. Miałem na sobie trochę rzeczy. przed wypuszczeniem wymieniono mi stare rzeczy na nowe, inaczej jechałbym jak jakiś obszarpaniec. Ale te tereny były nasycone rzeczami, bo były blisko obozów, dlatego ceny nie były wysokie. Ci co doczekali do Ukrainy, uzyskali wyższe ceny. Ostatni podkoszulek sprzedałem dopiero w Winnicy. Za ten podkoszulek dostałem 90 rubli, a gdybym miał więcej rzeczy na Ukrainie miałbym więcej pieniędzy,

Podróż trwała całymi dniami. Pociągi nie stosowały się do jakiegoś rozkładu jazdy, może inne, ale te były dodatkowe, przypadkowe. Jechałem do Moskwy do Związku Patriotów Polskich. Zwróciłem uwagę na majestatyczną postać portiera. Jak wiadomo wszyscy portierzy i stróże wszędzie w Rosji są powiązani z taj-

na policję i policja wie, kto wszedł do takiego domu. Przy wyjeździe dostałem bilet kolejowy. W Związku Patriotów Polskich wszedłem do jakiegoś pokoju, coś tam dostałem, i teraz musiałem dostać się do Winnicy. Moskwa jak wiadomo ma 9 dworców. Musiałem się dostać na dworzec kijowski. Tam walka o miejsce w wagonie. Wagony były towarowe, z pryczami.

Do Związku Patriotów Polskich poszedłem, bo chciałem zobaczyć, jaka to organizacja. Nic o niej nie wiedziałem. W obozie nie miałem żadnych gazet. O wojnie w Europie także nic nie wiedziałem. Człowiek w łagrze jest pochłonięty przeżyciem, wieczorami bardziej niż wydarzenia na świecie człowieka interesują metafizyczne sprawy życia i śmierci. Jakies wspomnienia z przeszłości - to człowiek chciał uratować. A trzeba było walczyć o pamięć. Załowałem, że znałem za mało wierszy i dat historycznych. Powtarzałem litanie. Mówiłem już o tym Uzbeku, który mnie poczęstował serkami. Człowiek tam nie myślał kategoriami jakiś wypadków na świecie. Pewnie, że wojna niemiecko-sowiecka była dla nas przeżyciem, ale dlatego, że to nas bezpośrednio dotyczyło i wierzyliśmy, że będziemy zwolnieni. Potem te zwycięstwa Sowietów nad Niemcami nas nie cieszyły, bo umacniały w nich dumę i pewność siebie.

Z Kijowa do Winnicy jechałem z tydzień. Po drodze niesamowite sceny. Wiedziałem oczywiście o bezdomnych dzieciach, po rosyjsku "bezprizornych". /Przed wojną był u nas film radziecki o tych dzieciach/. Nie wyobrażacie sobie co to jest. Młode obojga płci wyrzutki społeczeństwa, to są 6, 7, 8, 10, 15-letnie i jakiś przywódca może 17-letni, może być dziewczyna. Rozwydrzeni. Gdy pociąg się gdzieś zatrzymał w polu, oni napadali na wagony. To były całe bandy. Fijane dzieciaki, dziewczyny, chłopcy, wulgarne, chamskie, potworne. Powtórzyło się to, co było

po ich rewolucji, gdzie CZEKA, pod dowództwem naszego niestety rodaka Dzierżyńskiego rozstrzeliwała ich z karabinów maszynowych. Rozstrzeliwała i zakopywała w dołach z wapnem. Potem Dzierżyński, nie wiem czy w jakiejś ekspiacji, zaczął tworzyć obozy dla tych bezdomnych dzieci. To mogły być również dzieci obszarników, ziemian, oficerów, robotników, chłopów, których rodzice gdzieś zginęli lub przepadli, uciekli.

Jakoś do Winnicy dojechałem. Winnica zrobiła na mnie wrażenie, mimo że przecież kilkakrotnie przechodziła z rąk do rąk. Żadnej cerkwi, dwa kościoły, późno barokowe, z wysokimi wieżami. Teraz oczywiście nie kościoły, ale jakieś magazyny zbożowe czy coś. Zniszczony dworzec, ale listopad, wspaniała późna jesień. jesień ukraińska, ciepła. Owszem, brakowało odzieży, ale Ukraina mlekiem i miodem płynąca. Na rynku wszystkiego pełno. I proszę sobie wyobrazić, - nie miałem pieniędzy. Wygrzebałem więc ten ostatni, jedyny podkoszulek, skąd się jeszcze znalazł, nie wiem, i sprzedałem. Ale miałem przecież jechać do kołchozu, nie do Winnicy. Powiedziałem sobie, że to mrzonki i udałem się do Rejonowej Komisji ~~Powiadzi~~ ~~Uzupełnień~~ Uzupełnień, tam gdzie rejestrowano ochotników i poborowych i zgłosiłem się do wojska polskiego, do armii Berlinga. Tam byli Polacy z Pomorza, z poznańskiego, wszyscy którzy znaleźli się w jakiś sposób na terenie Związku Radzieckiego i powracali teraz z obozów.

Małymi grupkami wywożono nas do Lublina. Przychodził radziecki sierżant, który na tych przewozach Lublin-Winnica zarabiał krocie, bo przewoził masę różnych towarów z Polski, był bardzo zadowolony. Zostałem wciągnięty na listę ochotników do wojska, dostałem przydziały żywnościowe i po paru dniach sierżant nas zabrał, zgrupował i już oficjalnie powiózł przez Kijów. W Kijowie zatrzymaliśmy się, zwiedziliśmy Kijów, cerkiew św. Włodzi-

mierza. Byłem zdziwiony i to już nie pierwszy raz - Sowieci chodzili po tej cerkwi w czapkach. Dzisiaj można by im zwrócić uwagę. Na drzwiach cerkwi była odezwa episkopatu prawosławnego o ofiarność, o składanie różnych rzeczy na rzecz odbudowy kra-ju, dla zwycięstwa. Byłem na tej głównej ulicy. Znałem Kijów z wielu książek polskich, z powieści polskich. Ulica Krestiatik była cała zniszczona. Całą, odbudowywali ją Niemcy, jeńcy niemieccy, uczeni, pracownicy, starannie budowali Krestiatik.

Dojechałem do Majdanka. Ponieważ w Wilnie przed wojną ukończyłem gimnazjum matematyczno-przyrodnicze im. Joachima Lelewela, więc zgłosiłem się do wojsk artyleryjskich i zabrano mnie do Włodawy. Straszne miasteczko. Żył w nim kiedyś bardzo dużo Żydów. Po wymordowaniu Żydów było tak bardzo mało ludzi, dużo zniszczonych domów, przeważnie parterowych na brzegiem Bugu i stale wiał wiatr. Stały tam koszary, dawne, chyba jeszcze carskie, parterowe, i polskie koszary piętrowe, bardzo ładne. Zaczęła się zabawa w wojsko. Oficerowie byli rosyjscy, którzy mieli polskobrzmiące nazwiska, może wnuki polskich zesłańców, ale z Polską mający tyle wspólnego co ja powiedzmy z Wietnamem. Troszkę znali polski, ale niewiele. To był pułk zapasowy. Pułkownikiem był płk Wroński. Nazwisko absolutnie polskie, ale tylko tyle. Podoficerami byli już Polacy.

Wyraziłem się - zabawa w wojsko. Otóż nie nauczyłem się tu niczego, nawet strzelać. Armaty, niby byłem w artylerii, zupełnie nie poznałem. Prowadzono nas na ćwiczenia, ale nie tam nie robiliśmy. Nie nauczono nas nawet broni składać. Zaraz wyczułem, że to jakaś formalna sprawa to wojsko. Ale jako mięso armatnie, byliśmy bardzo dobrzy, robić masę, która nie ma żadnego znaczenia.

Zajęcia były denerwujące, np płk Wroński miał taką manię, żeby codziennie wszystkie dróżki były wygracowane. Padał śnieg,

armaty stały, ale to były atrapy. Trzeba je było czyścić. Niemcy zostawili po sobie 5 czy 6 ogromnych dołów, z góry przygotowanych na latryny. To żeby te dróżki były wygracowane, chodziliśmy do tych bardzo głębokich dołów i wykopywaliśmy z nich piasek. Latryny się zasypywały, więc oczywiście codzienne defilady. Oczywiście gnębiły nas wszy. Rosjanie się jakoś uchronili. Operowaliśmy żelazkiem, prasowaliśmy gorącym żelazkiem po wszystkich szwach. Mieszkaliśmy w tych barakach carskiej armii.

Z Majdanka do Włodawy przyjechali również zmobilizowani Polacy z terenów, z których Niemcy zostali wypędzeni, ale również z terenów Wilna, Lwowa. Tam byli wszyscy. Byli ludzie w ostatnim stadium suchot. Wszystkich brano: ślepych, głuchych, suchotników, wszystkich.

Ja poszedłem do tego wojska, żeby się wydostać z Winnicy. Inaczej bym się nie wydostał. Granica była obstawiona, dostałbym znowu wyrok za chęć przekroczenia granicy. Za przekroczenie granicy dawano 9 lat, w tę czy w tamtą stronę. Zdawałem sobie sprawę, że z wyzwoleniem Polski to wojsko nie ma nic wspólnego. Byłem nastawiony anty już przed wojną. Zdawałem sobie sprawę.

Dożyliśmy do Bożego Narodzenia. Proszę sobie wyobrazić, jaki szok przeżyli ci oficerowie, gdy dzieliliśmy się opłatkiem. Zachowaliśmy tradycję, tradycję polską - byli kapelani, wieczna wigilijna, opłatek - ci nawet nie wiedzieli, co to jest, z czym to się je, co to w ogóle jest - śpiewaliśmy kolędy. Potem była pasterka, na wielkim placu we Włodawie. Było ciepło, mimo że to 24 grudnia, wspaniale ciepło.

W nowym roku 1945 zaczęło mnie boleć podbrzusze, zacząłem zgłaszać się do lekarza. Było: - "Wystąp, ci co do lekarza na lewo." Ale nas wygnano. Powiedzieli, że my markujemy, że udajemy. I pewnego dnia powiedziałem sobie cha, śnieg pada, taki lepki,

mokry, a my te lufy idziemy wycierać, co za bzdury, a to mnie boli coraz bardziej, coraz bardziej. Powiedziałem sobie, nie. Koledzy zaczęli mnie ostrzegać, uważaj to jest stan wojenny, rozstrzelają cię za niesubordynację. Ale moja postawa zmusiła dowódców do tego, że wysłano mnie do lekarza. Lekarz stwierdził, że mam 38° z kreskami gorączki i że jest to zapalenie wyrostka. Więc morfina na uśmierzanie bólu i miałem szczęście. Z Włodawy dwa razy w tygodniu wywożono do Chełma Lubelskiego chorych, do szpitala. A przecież każdy dzień groził ogromnymi skutkami i właśnie tego dnia wywożono. Wieczorem w Chełmie Lubelskim momentalnie zrobiono mi operację. Miałem nie tylko zapalenie wyrostka, ale też zapalenie otrzewnej. Przez ten czas, kiedy mnie bolało podbrzusze i kiedy mnie ignorowano, że niby markuję wrzód się rozszerzał.

Operowali mnie wspaniali przedwojenni lekarze. Proszę sobie wyobrazić, jedną czy drugą śmierć człowieka, przecież to była wojna, ale oni czuli odpowiedzialność lekarską za każdego człowieka. Czy w wojnie, czy w pokoju. To byli wspaniali lekarze. Jeden mi powiedział: - "Proszę pana, że pan żyje, to wypadek jeden na dziesięć tysięcy. Opiekowały się mną wspaniałe sanitariuszki, z okolicznych dworów ziemiańskich. Przynosiły mi za własne pieniądze kupowane bułeczki.

Szybko zacząłem przychodzić do zdrowia. Przyszedł 17 stycznia atak wojsk sowieckich na zachód, wzięcie Warszawy, czyli przychodzić zaczęli ranni. Ja miałem jeszcze tzw sacek i z tym saczkiem, ledwie jeszcze żywy, rana jeszcze bardzo duża, mam wracać do Włodawy. Autostopem, proszę sobie wyobrazić. Skok na burtę ciężarówki - przecież to mogło pęknąć. Przyjechałem do Włodawy, a moi koledzy idą do szkoły oficerskiej, artyleryjskiej w Chełmie. - "Stachu, Stachu chodź tu do nas", jak bym

nie miał ochrony lekarskiej. Z tą ochroną zamieszkałem na twardej podłodze u pisarza.

Przed pierwszym maja, a koniec wojny - 8, 9, przyszły rozkazy, żeby przesłać tylu i tylu na punkt zapasowy. Opłaciło się to mieszkanie u pisarza - pisarz mnie na tę listę nie wciągnął. Tak uniknąłem ataku, a być może jakiejś głupiej śmierci w Kołobrzegu albo gdzie indziej. Przecież nie liczono się z żołnierzem, który był zupełnie nie przygotowany, przynajmniej ja byłem nie przygotowany.

Nasz pułk zapasowy z Włodawy został przeniesiony do Tomaszowa Mazowieckiego. W Tomaszowie Mazowieckim ciągle byłem przy pisarzu, właściwie nic nie robiłem, to było takie "Dolce far niente". Chodziłem tam do kirchy protestanckiej. Była tam jeszcze część protestantów. Drzwi były otwarte. Chodziłem tam i miałem kilka miękkich poduszek do siedzenia. Tam znalazłem bardzo dużo książek, jeszcze w starej rosyjskiej pisowni. I różne inne. Były tam Turgieniewa "Notatki myśliwego". Żyłem już na wolnych obrotach. Mogłem pograć na w tej kirsze na organach.

Zostałem zdemobilizowany pod koniec grudnia 1945 roku i przyjechałem zaraz do Poznania, bo tu już był mój brat. Miał już mieszkanie na Sołaczu. Spotkałem się z nim po sześciu latach u znajomych. Jak wszyscy wiemy do roku 1948 było wspaniale. Rozkwitała inicjatywa prywatna, było tyle wspaniałych osiągnięć. Byłem pionkiem, ale już wtedy wiedziałem, że Kościół będzie się musiał zrzec pewnej własności ziemskiej. Podczas tygodni społecznych dla kościoła spotkałem się wtedy jeszcze z biskupem lubelskim, Stefanem Wyszyńskim i zostałem pod jego urokiem do końca jego dni. Okazuje się, że miałem rację. Poma-gałem jak mogłem, ale co ja mogłem, jakimiś memoriałami, jaki-

miś listami, różnie. Wiedziałem, że to nie jest czytane przez UB, - tak, to zawozikiem bezpośrednio, żeby nie do Gniezna, ale do Warszawy, te swoje jakieś tam... Byłem przekonany, że wszystko ulegnie rozpadowi, rozbiciu, zniszczeniu zupełnemu, rozproszkowaniu a utrzyma się Kościół. No i zdałem sobie sprawę, choć nie od razu, z bardzo niechlubnej roli PAX-u, który zaczął wydawać "Dzis i Jutro". Przyłgnałem do "Tygodnika Powszechnego", w którym były takie osoby jak Stomma, Gołubiew. Stommę już znałem z widzenia a Gołubiewa znałem dobrze, bo przez pewien czas uczył mnie historii w Wilnie.

Swoje przeżycia? Oczywiście że ukrywałem. Człowiek pisał tych ankiet całe multum. Ja podawałem, że byłem w wojsku, że byłem internowany w obozie litewskim i potem przejęty z całym dziedzictwem Litwy i tam wywieziony.

Doświadczenia wyniesione z obozu - to strasznie trudno powiedzieć. Tutaj na moje wspomnienia, wnioski mogą się nakładać reminiscencje literackie. "Zapiski z Martwego Domu" Dostojewskiego, Gustawa Herling-Grudzińskiego "Inny świat", Czapskiego "Na Nieludzkiej Ziemi", więc jest to niełatwe. Ja pojechałem tam już jako świadomy człowiek. Wiedziałem co to jest dobro, a co zło. A przekonałem się, że to się może równoważyć. Tyle jest zła, nawet ten enkawudzista, który mógł mnie wysłać gdzie indziej, nie do Winnicy. Choćby do Kazachstanu. A on mnie wysłał do rejonów polskich, blisko granicy. W takich ustrojach, tego typu, kiedy prawo nie gra roli, to rolę gra człowieczeństwo. Ale tam w obozie tego nie było. Było głodno, ale jakieś minimum pożywienia jednak dostawaliśmy. Nie wiem, ile ważyłem, gdy wyszedłem, nie było się gdzie zważyć. W każdym razie nie byłem słaby, wiatr mnie nie przewracał.

Nie wiem. Jakoś starałem się przez te wszystkie kłopoty ~~przez~~

Kondratyev

przejsć, przejść tę tragedię. Byłem złamany, miałem niekiedy bardzo, bardzo ciężkie chwile, ale zawsze ktoś stawał na drodze z jakąś pomocą. To jakiś nie znany Polak, to jakiś Polak znany, to jakiś Rosjanin miłosierny. Bo w takim państwie, w którym prawo nic nie znaczy, w ogóle go nie ma, trzeba tylko liczyć na miłosierdzie ludzkie, na społeczeństwo. Zresztą zabijanie... Jak człowiek spotkał prawdziwego człowieka to się cieszył. A wszędzie są ludzie.

Co mi to dało. Doznałem tyle dobra, że nie mogę czynić zła. Człowiek ma wszystkie możliwości, jednak muszę robić wszystko, żeby nie czynić nikomu zła. A jeżeli czasem to zło zostało nieświadomie zrobione, to żałować i zadośćuczynić.

Nową Polskę przyjmowałem trochę naiwnie, bardzo naiwnie. I tu przyznaję, naiwnie wierzyłem. Może to tłumaczyć trzeba tym, że człowiek bardziej kierował się emocjami, niż rozumem i niestety miał małą wiedzę, bardzo małą wiedzę, jeśli chodzi o stosunki międzynarodowe. Krąg Workuty, krąg Peczory to jednak straszna separacja, żadnego kontaktu z gazetami, książkami, radiem, wydawało mi się, że świat zachodni wykorzysta swoją ogromną potęgę militarną. Masa ludzka, sowiecka to jedna rzecz, ale ta masa bez technicznej pomocy Zachodu nic by nie zrobiła. Przecież tam ciągle szła słynna "swinnaja tuszonka", masa sprzętu, to wszystko szło z Zachodu. Wydawało mi się, że sprawa nie skończy się na Łabie, że po raz drugi nie popełni się tego błędu, jaki popełniono w roku 1918. Naprawdę po prostu byłem głupi. Nie znałem się na stosunkach międzynarodowych, nie wiedziałem, że Amerykanie są też wyczerpani, właśnie wojną. Przecież wojna z Japonią nie była jeszcze zakończona. Że dla nich ważniejsze są sprawy Oceanu Spokojnego. W tym w ogóle się nie orientowałem, wydawało mi się, że nie można zgodzić się, żeby coś tak

Konradów

wstrętnego, o czym ja się przekonałem nie tylko naocznie, ale na własnym ciele, na własnym życiu, żeby coś tak wstrętnego mogło zawładnąć takimi terenami.

Dlatego nie zachęcałem moich rodziców do repatriacji, a raczej deportacji tutaj, jaka to repatriacja, kiedy myśmy tam byli od dziada pradziada. Nie zachęcałem, dlatego moi rodzice zostali, a w roku 1948 wywieziono ich na wschód.

*Nagrata i opracowała
Barbara Fabiańska
grudzień 1989 - styczeń 1990*